

SZKOŁA SYCYLIJSKA

JACOPO (GIACOMO) DA LENTINI

(ok. 1233)

Bez nijakiej obrony  
Miłość się we mnie wdraża i moje wiąże chęci;  
Jak malarz roztargniony,  
Który wkółko powtarza to, co nosi w pamięci,  
Tak się tu dzieje ze mną,  
I szarpać się daremno, twój obraz wciąż mię nęci.

W sercu swem ciebie noszę:  
W niem twa postać wyryła, ale nie widać po mnie;  
O Boże, co ja znoszę!  
Tobie samej nie świta, jak cię kocham ogromnie,  
Bo jestem tak nieśmiały,  
Że, gdy spojrzę, drzę cały, stoję i milczę skromnie.

W mojej wielkiej tęsknocie  
Pendzlem wymalowałem twe lica urodziwe;  
Gdy dojść nie mogę do cię,  
Patrzę, — ledwie spojrzałem, oglądam je jak żywe.  
Tak człowiek, co się stara,  
By umocniła wiara, co mu jeszcze wątpliwe.

W mem sercu ból się żarzy,  
Jak gdy człek ogień za pazuchę kryje:  
Im bardziej tuli, tem boleśniej parzy.

(*E. Monaci, Crestomazia italiana, Roma 1912, p. 42—3.*)

KANCONA NIEZNANEGO AUTORA

(Z «Memorjalów notarjuszy bolońskich», r. 1307. — Na marginesach akt notarjalnych młodzi klerycy wypisywali wiersze — nieocenione zabytki naiwnej twórczości, jakkolwiek w konwencjonalnej formie artystycznej):

Dla ciebie, pani, śpiewam,  
Śpiewam z serdecznej chęci;  
Twa uroda mię nęci  
I powiada mi: Śpiewaj!  
Tak zatem śpiewam dla cię,  
Śpiewam z serdecznej chęci  
Pieśni z twym wdziękiem składne,  
Przynależne tej cześci,  
Jaka się w tobie mieści.

Sam sobą już nie władnę,  
Niczego już nie pomnę.  
Świat cały za nic liczę,  
Jeno słów twych słodycze,  
Gdy mówisz do mnie: Śpiewaj!  
Dla ciebie, pani, śpiewam,  
Śpiewam z serdecznej chęci;  
Twa uroda mię nęci  
I powiada mi: Śpiewaj!

(*E. Monaci, Crestomazia, str. 294.*)

## LITERATURA UMBRYJSKA

ŚW. FRANCISZEK Z ASYŻU

(1181—1226)

ZWIERCIAŁO DOSKONAŁOŚCI

Najstarsza legenda brata Leona

Innym razem pewien brat, nowicjusz umiejący czytać psalterz, choć niezbyt biegle, otrzymał od swego generała-ministra pozwolenie na posiadanie książki, ale ponieważ słyszał, że św. Franciszek życzył sobie, aby bracia nie byli chciwi wiedzy i książek, nie zadowolił się tem, lecz pragnął zgody świętego. Gdy zatem św. Franciszek przybył na miejsce pobytu owego nowicjusza, ten odezwał się: «Ojcze, byłaby dla mnie wielka pociecha posiadać psalterz, i generał dał mi na to pozwolenie, niemniej chciałbym, aby to było z twoją zgodą». Na to św. Franciszek: «Cesarz Karol, Roland, Oliwier, wszyscy paladynowie i mocni mężowie, dzielni w boju, zwalczający niewiernych w trudzie i mozołach aż do śmierci, zwycięstwa swoje przekazali potomnym, wszyscy owi święci męczennicy polegli w boju za wiarę Chrystusową. Zato dziś znajduje się wielu, którzy samem opowiadaniem tego, co tamci zdziałali, chcą zdobyć zaszczyt i ludzką chlubę. Tak też między nami jest wielu, którzyby samem powtarzaniem i opowiadaniem dzieł, które święci spełniali, chcieli zdobyć zaszczyty». Jakgdyby mówił: «Nie należy dbać o książki i wiedzę, ale o cnotliwe dzieła, bo wiedza nadyma, a miłość buduje». Po kilku znowu dniach do siedzącego przy ognisku przystąpił ten sam nowicjusz i znów mówił o psalterzu. I rzekł mu św. Franciszek: «Skoro będziesz miał psalterz, zachce ci się brewjarza; a kiedy będziesz posiadał brewjarz, zasiędziesz na stolicy jak wielki prałat i powiesz opatowi twemu: podaj mi brewjarz». Mówiąc tak z wielką porywcznością, nabral garść popiołu, posypał mu głowę, poczem wodząc po niej dłonią, jakby ją zmywał, zawołał: «Oto masz brewjarz, oto masz brewjarz».

IV. Do pewnej pustelni braci powyżej Borgo S. Sepolcro przybywali niekiedy rabusie po chleb; mieszkali w lasach i obdzierali podróżnych; niektórzy bracia powiadali, że nie lza dawać im jałmużny, inni zaś z litości dawali, aby ich skłonić do poprawy. Św. Franciszek przybył na owo miejsce, a bracia pytali go, czy słuszna jest dawać im jałmużnę, i rzekł im święty: «Jeżeli uczynicie, jak wam powiem, mam ufność w Bogu, że pozyskamy ich. Idźcie więc, nakupcie dobrego chleba i dobrego wina i zanieście im do lasu, gdzie przebywają, i wołajcie, mówiąc: «Bracia zbójcy, przyjdźcie ku nam, bo braćmi naszymi jesteśmy i przynosimy wam dobry chleb i dobre wino». A oni zaraz przyjdą. Wy zaś rozłóżcie na ziemi obrus i postawcie na nim chleb i wino i usługujcie im pokornie i wesoło, póki jeść będą. Po śniadaniu zaś przemówcie do nich słowem Bożem i uczynicie do nich tę pierwszą próbę, by wam przyrzekli, że nie będą nikogo ranili ani obrażali go na ciele. Bo choćby większej rzeczy nie chcieli wypełnić, tę dla litości i pokory waszej wam przyrzeką. Następnego znowu dnia, za to dobre przyrzeczenie z chlebem i winem, przynieście im jaj i sera i usługujcie im w czasie posiłku. Poczem powiedzcie: «Cóż tu będziecie stać po całych dniach, przymierając głodem i znosząc takie uciski, przyczem dopuszczacie się złego woła i czynem i gubicie dusze wasze, póki nie nawrócicie się ku Bogu? Lepsza będzie służyć Bogu, a on dbać będzie o potrzeby wasze doczesne w tem życiu, zaś potem zbawi dusze wasze. Wtedy Bóg natchnie ich, że dla pokory i cierpliwości waszej, jakie im okażecie, nawrócą się». Uczynili tedy bracia wszystko, jak im powiedział św. Franciszek, owi zbójcy z łaski i zlitowania Bożego wysłuchali i wypełnili co do litery wszystko, czego bracia pokornie od nich zażądali. Owszem, dla tej pokory i przytulności im okazanej, poczęli braciom z pokorą sami usługiwać, znosząc na grzbiecie drwa aż do pustelni, a wreszcie niektórzy z nich wstąpili do zakonu. Inni znowu, wyspowiadawszy się z grzechów, czynili pokutę, składając przyrzeczenie braciom, że będą odtąd żyli z pracy rąk i nie dopuszczą się więcej przestępstwa.

(*Legenda antiquissima, I. 4, ed. Sabatier, Paris 1898.*)

## PIEŚŃ STWORZEŃ

Najwyższy, wszechpotężny, dobry Panie!  
 Twoje są chwała i sława, i cześć, i błogosławienstwo;  
 Tobie jednemu najwyższemu przynależą,  
 I nie jest człowiek godzien wspominać Twego Imienia.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, ze wszystkimi twory,  
 W szczególności z panem braciszkiem słońcem,  
 Które dzień niesie i sobą nam świeci,  
 Jest piękne, jasne i roznieca blask wielki,  
 I Twem, o najwyższy, jest wyobrażeniem.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, przez braci naszych: miesiąc i gwiazdy,  
 Któreś na niebie umieścił jasne, i cenne, i piękne.  
 Bądź pochwalony, panie mój, przez braciszka wiatr,  
 Przez powietrze i przez czas chmurny i pogodny, i jakikolwiek inny,  
 Któremi wszystkim stworzeniom dajesz pokrzepienie.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrzyczkę wodę,  
 Która jest wielce użyteczna i pokorna, i cenna, i czysta.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, przez braciszka ogień, którym rozjaśnia się noc,  
 I który jest urodziwy i krzepki, i mocny.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrę ziemię, która nas utrzymuje i żywi,  
 I wydaje przeróżne owoce i kwiaty barwne, i ziola...  
 Bądź pozdrowiony, Panie, przez siostrę naszą, śmierć cielesną,  
 Której żaden człowiek ująć nie może.  
 Biada tym, którzy konają w grzechu śmiertelnym!  
 Błogosławieni ci, którzy się znajdują w Twojej świętej woli,  
 Gdy wtóra śmierć nie wyrządzi im szkody.  
 Chwalcie i błogosławcie Pana, dziękujcie  
 I służcie mu w wielkiej pokorze.

*(Cantico di S. Francesco d'Assisi. Według tekstu Monaciego  
 w Crestomazia italiana 1912, p. 29.)*

## JACOPONE DA TODI

(1230—1306)

## LAUDA DRAMATYCZNA

Posel:

Pani Niebios gwieździsta, Porwali Jezu Chrysta,  
 Syna Twego porwali!  
 Pośpiesz, obacz, Maryjo, Jak Go szarpią i biją,  
 Strach mi, że go zabiją, Tak go ubiczowali.

Maryja:

Z jakiej, z jakiej przyczyny? Wszak-ci niema w nim winy.  
 Któż cię, synu jedyny, Wydał im, o boleści?

Posel:

Pani, zdradą był wzięty, Zdradził Judasz przeklęty  
 Dla znikomej ponęty, Za srebrników trzydzieści.

Maryja:

Pośpiesz, pośpiesz, Magdali, Zgroza się na mnie wali:  
 Chrysta mego zabrali, Takie mię doszły wieści.

Posel:

O pani, całą zgrają Na syna Twego ptwają.  
Teraz już nie nastają, Wiodą go do Pilata.

Maryja:

Pilacie, każ swą władzą, Niech mi dziecka nie męczą,  
Wszyscy tutaj poręczą, Nie zasłużył rąk kata.

Tlum:

Ukrzyżuj go, ukrzyżuj, On się królem wyznawa,  
Wedle naszego prawa, On senatu jest wrogiem.

Maryja:

Śluchajcie mię, sluchajcie, Boleść moję zważajcie,  
Z tym sądem się wstrzymajcie I tym wyrokiem srogim.

Posel:

Z lotrami dwoma przyszli, Żeby przy nim zawisli.

Tlum:

Kiedy być królem myśli, Daj mu z cierni koronę.

Maryja:

Synku, liliji kwiecie, Synku najmilszy w świecie,  
Ten ciężar mię przygniecie: Patrz, cała we łzach tonę.  
Oczko ucieszne moje, Nie patrzysz, że tu stoję,  
Cofasz się, synku miły, Od piersi, co cię karmiły.

Posel:

Patrz, pani, drzewo krzyża, Już się z niem motloch zbliża,  
Szczera się światłość zwyża, Pogląda na dziedziny.

Maryja:

O krzyżu, co uczynię? Syna mi weźmiesz ninie,  
Jakżeż na tobie zginie, Który jest sam bez winy?

Posel:

Lud bieży dziką zgrają; Patrz, krzyżować go mają;  
Patrz, już go obnażają, Śpiesz, Matko boleściwa.

Maryja:

Z ciała płaszcz już zerwany, A krwią wszystkim zbryzgany,  
Dajcie spojrzeć na rany; Krew po dziecku mem splywa.

Posel:

Prawą rękę chwycili, Do drzewa przytroczyli,  
Odjąć niech się nie sili, Bo gwoździami przybita.  
Rękę lewą rozwarli I do drzewa ją wparli,  
Całą dłoń mu rozdarli, Żeby cierpiał dosyta.  
Przycisnęli kolana, Stopy krwawiąca rana,  
Uwiąż kostek stargana; Skrós jest gwoździem rozryta.

Maryja:

Tu sił moich ostatki! O pocieszko swej matki,  
Synku, Synku mój gładki, Kto wydziera ci życie?  
Lepiej było, morderce, Mnie samej wydrzeć serce,  
Niźbym w tej poniewierce Patrzała w synka lice.

Chrystus:

Mamo, przyszedł tu poco? Me rany silniej broczą,  
Lecz twych struga niemocą Moje serce zalala.

Maryja:

Placz mi splywa po licu, Synu, mężu, rodzicu,  
Kto cię krwawił w tem biciu? Kto ci odzież zdarł z ciała.

Chrystus:

O Matko, nie płacz-że mi, Zostań po mnie na ziemi  
Z towarzyszami mymi: Umrę dla ich zbawienia.

Maryja:

Synu, konam w żałobie, W jednym spoczniemy grobie,  
Zostanę tu przy tobie Do ostatniego tchnienia.  
W jednej skona godzinie Licha Matka przy synie,  
Od jednej męki zginie W dziecku swem rozkochana.

Chrystus:

Matko, ulżyj swej męce: Oto daję w twe ręce  
I tobie go poświęcę Milego brata Jana.  
To moja matka Janie: Miejże o nią staranie,  
Przy tobie niech zostanie, Bo jest wszystka złamana.

Maryja:

Westchnął, biada, nie żyje? Ręce wesprą mię czyje?  
Mą boleść gdzie ukryję? I kto się mnie użali?

— — — — —  
Synu, ucieśzne dziecko, Biało-różane kwiecie,  
Pokój niosłeś po świecie, Czemuż cię nie poznali?

(Crest. ital., nr. 147, III.)

## POEZJA LOMBARDZKA

GIACOMINO DA VERONA

(XIII w.)

### O BABILONIE, MIEŚCIE PIEKIELNEM

— Na chwałę Jezu Chrysta, króla rajskiej dzierzawy,  
Opowiem tu historję dla człowieczej poprawy.  
Kto ją mocno utwierdzi w swej pamięci ciekawej,  
Snadnie zwycięży wroga i jego nieczne sprawy.

Nowiną dla was będzie we wszystkiej swej osnowie,  
Miasto owo piekielne... już cię przechodzi mrowie.  
To jest Babilon wielki — takim się mianem zowie,  
Tak go zdawna pisali różni święci mężowie.

Królem całego państwa jest ów anioł skalany:  
Lucyfer: chciał być wyższy nad niebieskimi pany,  
Powiadał sam do siebie: «Z Bogiem będę zrównany!»  
Za to był zdjęty z nieba ze swoimi kompany.

Gród jest ludny a ciasny i po brzegach, i na dnie;  
Mękami i katuszą wypełniony szkaradnie,  
Tak powiadają święci jednomyślnie i składnie.  
Nie wygrzebie się nigdy ten, co raz tam popadnie.

Na samym dnie się mieści kaźnia Lucyferowa,  
Wokół mury opływa smoła i siarka płowa.  
Choćbyś morze tam przelał, nie się zeń nie uchowa,  
Woda wszystka się spali niby świeca woskowa.

Środkiem całego grodu mętna rzeka przepływa,  
Bardziej gorzka od żółci, truciznami zjadliwa,  
Dokoła ciernie, osty i parząca pokrzywa,  
Každy kolec jak brzytwa siecze, tnie i rozrywa.

Ponad grodem kopuła czerwonością się pali,  
Odlana z andranegu(?), ze śpiżu i ze stali;  
Mury bardzo wysokie z gładów pobudowali,  
Grzesznik, co tam zapadnie, nigdy się nie ocali.

Pod straż czterech strażników zamek jest postawiony:  
Satana, Barachina, Tryfona i Mahomy.  
Okrutnie jest zaciekły wszystek ten lud zbieszony,  
Biada potępieńcowi, co im popadnie w szpony.

Ponad głównymi drzwiami stoi wieża czubata,  
Na której to strażnicy djabelska mieszka czata,  
Bystrem okiem poziera na cztery strony świata,  
Nieda podejść nikomu przeklętnica rogata.

A taka jest natura czujnej, piekielnej straży,  
Nigdy powiek nie przymknie, ani go sen rozmarzy,  
Znać daje klucznikowi, co w bramie gospodarzy,  
By nie wypuścił gminu, co tam po piekle łązi.

Więc na cały głos krzyczy i woła ze swej wieże:  
«Od naszej nędznej włości pilnie przymykaj dźwierze,  
Niech się nikt nie wyzwoli z naszej czarnej obieże,  
Niech wiedzą: dróg i mostów tutaj się dobrze strzeże.

Lecz gość będzie przyjęty niezem jaki włodyka:  
Niech się z wielką uciechą przeciw niemu przymyka,  
Niech się pospuszcza mosty i bramy podmyka,  
Niech go śpiew mile wita i wesola muzyka».

O nędzni potępieńcy, poskupiani w tej cieśni,  
Których w czadzie piekielnym takie witają pieśni,  
Szeroko rozpowiadać wasz kłopot mi się nie śni,  
Ani będę wysławiał, sami się sławcie wcześniej.

To wiedzcie, że zaledwie wejdzie tutaj za progi,  
Zaraz mu popętają obie ręce i nogi,  
Siec go będą biczami, ból zadając mu srogi,  
Potem go zaprowadzą przed króla złej załogi.

On zawoła ministra, co procesy prowadzi,  
Ten go wlec do więzienia każe swojej czeladzi.

Ile mil jest od niebios aż do piekielnej kadzi,  
Tam go wtrąca: tam ogień wiecznie dymi i czadzi.

Z ust ministra buchają przeokropne fetory,  
Nikt podobnych nie wachał, ani znał do tej pory;  
Kto raz blisko podejdzie, nie pomogą doktory,  
Wnet gościec go połamie, na wieki będzie chory.

Nie było w żadnym domu, to wam powtarzam wiernie,  
Kloaki ani rzeczy cuchnącej tak bezmiernie,  
Na tysiące mil wokoło czuć te złe wonne czernie;  
Ten zaduch ma swe źródło w piekiel dolnej cysternie:

Tam się roją ropuchy, jaszczury rozmaite,  
Bazyliuszki i żmije, złe i niesamowite,  
Smoki mają kły długie, ostre i jadowite,  
Żrą ciała potępieńców a są zawsze niesyte.

Są też djabły ogromne, aż przechodzą mię ciarki:  
Maczugami grzesznikom łamią żebra i barki,  
A wszystka owa zgraja czarniawa jak ogarki,  
Za świętymi powtarzam — a wiernie bez przechwalki.

Obrzydliwe są lica tej piekielnej kompanji;  
Jakie gdzie rosną ciernie od Krymu do Hiszpanji,  
Poobrywała wszystkie, niemi chłoszcze i rani,  
Niema większej uciechy dla mieszkańców otchłani.

Od rana do wieczora roboty nie przestaje,  
Wciąż z otwartej paszczęki ogniem pogańskim ziaje.  
Łapy ci ma kosmate, a rogi jak buhaje,  
Ciągłe wyje jak wilcy i jako pieski łaje.

Kto im popadnie w ręce, to nieprędko z nim kończą:  
Zaraz go rzuca w wodę takim chłodem mrożąca,  
Że dzień zda mu się rokiem, zaczem go znowu strąca  
Do następnego kotła w wodę jak żar gorąca.

A gdy go ta ogarnie i warem, i bulgotem,  
Rychło chciałby do pierwszej być rzucony zpowrotem,  
I tak na wieki wieków zostanie z tym kłopotem,  
I już się nie wykupi ni srebrem, ani złotem.

A kiedy tak w tych kotłach i ziębi się, i praży,  
Przyjdzie przed tron Belzebub, najsprawniejszy z kucharzy,  
Porwie duszę jak wieprza i na rożen go wrazi,  
By ją spiec jak się godzi dla dworu dygnitarzy.

Potem solą zasypie, sadzy, mazi dobierze,  
W żółci i mocnym occie należycie wypierze —  
W truciźnie go wymoczy, zmaceruje w imbierze,  
Od sosu tak smacznego niechaj was Pan Bóg strzeże.

Przed króla piekielnego na półmisku go dźwiga.  
Gdy zobaczy potrawę stary smakosz i wyga,  
Pokosztuje i wrzaśnie: «Nie wart tyle co figa:  
Mięso wcale surowe, jeszcze świeżą krwią rzyga,

Jeszczem gotów zachorzeć po tym marnym bankiecie,  
Zanieś go, skąd zabrałeś: niech się wszystek dopiecze,  
Wsadź zpowrotem na rożen, puść mu płomień po grzbiecie,  
Co pod twoim kominem ciągle się pali przecie.

A nie podawaj znowu, nie życzę tej pieczeni,  
Niech go kuchla ma w pieczy, a niechaj się nie leni  
I robi wraz, co każę, jeśli swą skórę ceni,  
Na co grzesznik zasłużył, to się już nie odmieni».

(*Crest. ital.*, nr. 128, II, w. 1—112.)

## WENECJA

MARCO POLO

(1254—1323)

IL MILIONE, Z R. 1298

### § XXXI. O Starcu z góry i jak urządził Raj, i o assasynach

...Kazał zasadzić między dwiema górami w dolinie najpiękniejszy ogród i największy na świecie, z wszystkimi gatunkami drzew owocowych, z najpiękniejszymi palacami, malowanymi złotem w zwierzęta i kwiaty. Płynęły w nim kanały z wodą, miodem, winem. Byli w nim najurodziwsi młodzieńcy i młodzianki, umiejący śpiewać, grać i tańczyć. A starzec kazał wierzyć, że to był «Raj»... Starzec chował na swoim dworze wszystkich chłopców dwunastoletnich, rokujących wielką dzielność. Kiedy ich osadzał w ogrodzie po 4, po 10, po 20-stu, dawał im zażywać opjum; spali 3 dni; w czasie tego kazał ich przenosić do ogrodu, a potem budzić. Kiedy, obudzwszy się, oglądali owe przepychy, wierzyli, że naprawdę są w raj... A kiedy Starzec chciał goś uśmiercić, dobierał najodpowiedniejszych, a oni chętnie spełniali rozkaz, aby powrócić do «Raju». Wielu królów płaci mu trybut z samego strachu. Prawdą jest, że w r. 1277 Alan, władca Tatarów zachodnich, znający owe nieczne sprawy, zamierzył zniszczyć go i posłał swoich baronów przeciw owemu ogrodowi. Trzy lata oblegali zamek, nim go dostali, a i to ogłodziwszy załogę. Wtedy został pojmany i zabity Starzec i wszystek jego lud, a odtąd nie było już «Starca»; na nim skończyło się panowanie.

### § LV—LVI. Jak prezbiter Jan wyruszył przeciw Dżengischanowi

Kiedy prezbiter Jan dowiedział się, że Dżengis wyruszył przeciw niemu, pchnął swoje wojska i przybył na równinę o 10 mil odległości od jego obozu; każdy z nich wypooczywał, by pokrzepić siły do bitwy. Równina owa zwała się Tengut (Tenduc). Pewnego dnia Dżengis przywołał astrologów chrześcijańskich i saraceńskich i kazał im wróżyć, kto będzie zwycięzcą. Chrześcijanie przynieśli laskę i rozcięli ją wzdłuż, i położyli jedną połowę po stronie Dżengisa, drugą po stronie prezbitera Jana, i wypisali na każdej jedno imię, i powiedzieli: «Czyja laska wyskoczy na drugą, ten zwycięży». Dżengis kazał im wróżyć co najprędzej. Chrześcijanie mieli z sobą psalterz i odczytali kilka wierszy i psalmów zaklęcia; tedy laska z imieniem Dżengisa wspięła się na drugą, a to widzieli wszyscy, którzy tam byli...

Potem ustawili się do bitwy i walczyli zacięcie, była to bitwa największa, jaką znano, z najcięższymi stratami po obu stronach, ale Dżengischan wyszedł zwycięzcą; prezbiter Jan poległ, a od tego dnia stracone było wszystko jego państwo...

### § LXXXVI. O palących się kamieniach (węglu kamiennym)

Prawdą jest, że w całej prowincji Kataju znajduje się rodzaj czarnych kamieni, które się wydobywa z gór, jak żyły metalu, a które płoną jak lucywo, a utrzymują



ogień dłużej niż drwa. Kiedy się je wieczorem rozpali, to jeżeli przejdą całe żarem, to utrzymują ciepło przez całą noc; w całej prowincji Kataju nie palą czem innym. Posiadają wprawdzie drzewo, ale owe kamienie są tańsze i stanowią wielką oszczędność.

(*Marco Polo, Il Milione, ed. Olivieri Scrittore d'Italia, Bari Laterza 1912.*)

## SZKOŁA «NOWEGO SŁODKIEGO STYLU»

GUIDO GUINIZELLI

(ok. 1240—1276)

### SONET

Tu wam opowiem pani mojej wdzięki:  
Lilją się bieli, a różą się płoni,  
Jest porównana do gwiazdy jutrzejki;  
Wszystko, co piękne, jest podobne do niej.

Do kwiatu z barwą różową i złotą,  
Do mieniającej się, przezroczystej fali;  
Podobna srebru i drogim klejnotom,  
Sama się miłość przez nią doskonali.

Stąpa po drodze taka umilona:  
Tego pozdrowi, a w tym dumę zniży;  
Człek obcej wiary przez nią się nawróci,

Zły człowiek z lęku do niej się nie zbliży,  
Jeszcze te nosi niebiańskie znamiona,  
Że kto ją widział, nie zazna złej chuci.

(*Crest. ital., p. 298.*)

### O NATURZE MIŁOŚCI

W sercu szlachetnem miłość ma mieszkanie  
Tak, jak ptak pośród gałęzi ogrodu;  
W jednym dniu z sercem szlachetnem kochanie,  
Z kochaniem grzeczność stworzyła przyroda.  
Wraz kiedy było utworzone słońce,  
Na świat wyblysły zeń świty przejasne,  
A nie wprzód niż słońce.  
Ze szlachetności kochanie wynika  
Tymże sposobem właśnie,  
Co z ogniowego żar bije płomyka.

W zacności miłość tak samo się zbiera,  
Jak moc wewnętrzna w klejnocie się łączy;  
Żadna gwieździsta nie ześle jej sfera,  
Aż jego głębi skra słońca dosięże,  
Więc kiedy słońce z kamienia wypędzi  
To, co w niem było i brudne, i podle,  
Wtedy mu gwiazda swej mocy nie szczędzi.  
Zacne i prawe, proste i bez chuci  
Serce, stworzone na tę samą modłę,  
Pani jak gwiazda kochaniem ocuci.

W sercu szlachetnem miłość tak się gnieździ,  
 Jak na świeczniku płomień; — nie inaczej  
 Dąży ku górze, gdzie się niebo gwieździ,  
 Taki jest dumny: klonić się nie raczy.  
 Kiedy natura licha  
 Gdzieś się z miłością zetknie mimochodem,  
 Wzajemnie się odpycha  
 Tak, jak z płomieniem woda  
 I jak gorącość z chłodem.  
 W sercu szlachetnem dla miłości czyste  
 Dom wystawia przyroda,  
 Jak dla magnesu w rudzie żelazistej.

Na garstkę błota promień słońca pada —  
 Słońcem zostaje słońce, błotem błoto;  
 Mówi pyszałek: szlachcic-em z pradziada,  
 A jest jak ten pył odziany jasnotą.  
 Bowiem fałszywe jest ludzi mniemanie,  
 Że zacność może istnieć sama przez się  
 Nawet w królewskim stanie;  
 Jeśli jej cnotą nie dobędzie z siebie,  
 Będzie jak woda, gdy światła nie wessie;  
 Światło, jak przódny, zostanie na niebie.  
 W Inteligencji niebieskiej wyblyska  
 Stworzyciel jaśniej, niż świt w ludzkim oku:  
 Ona pojmuje go, bo widzi zbliśka.  
 Tem pojnowaniem sfera, w swem otoku  
 Posłuszna, w myśl się przeznaczenia kręci.  
 Tak samo winien z pani swej spojrzienia  
 Pojąć treść, która w jej oczach jest żywa,  
 Bogiem natchnionej chęci  
 Miłośnik, co się od niej nie odrywa.

Gdy dusza moja przed Boga obliczem  
 Stanie, on rzecze: «Takżeś-to zuchwała?  
 Pokochałaś tam rzecz, która jest niczem,  
 Bo ci się moim obrazem wydała?  
 Chwałę Majestat Boży  
 Sam jeden winien mieć i Niebios Pani,  
 Przed którą fałsz się korzy».  
 Na to odpowiem: «Żeś się nią pochłubił,  
 Jak swym aniołem, przeto niech nie gani  
 Twa moc, żem się w niej jak w anioła wluubił».

(Nannucci, *Manuale della letteratura, Firenze 1874, t. I, p. 33.*)

## DANTE ALIGHIERI

(1265—1321)

### NOWE ŻYCIE

#### § 26

Taka dostojna i tak pełna wdzięku,  
 Kiedy, witając, skinie komu głową,  
 Że drżą mu usta i niemieje słowo,  
 A wzrok omdlewa z samego załęku.

Stąpa, a za nią brzmią pochwalne głosy,  
Wszystka w łaskawą uprzejmość odziana;  
Aby objawić cud, od progów Pana  
Tu ją ziemianom zesłały niebiosy.

Oczy, w nią patrząc, radować się muszą,  
A wzrok omdlewa z samego załęku;  
Kto nie doświadczył, zrozumieć nie zdoła.

Rzekłbyś, że z warg jej zlatujący wola  
Duch umiłony i pełen kochania,  
Co każe twojej duszy: westchnij, duszo!

#### § 42

Poza tę sferę, co najszerszym śmigła  
Lotem, idą me miłosne westchnienia;  
Nowy intelekt, zrodzony z cierpienia,  
Party kochaniem, ku górze je dźwiga.

Gdy duch mój dotarł tam, gdzie iść pożądał,  
Ujrzał niewiastę; dwór nieba się korzy  
Przed nią; a ona siedzi w blasków zorzy;  
Tam mój duch-pielgrzym na dziwo poglądał.

Zleciawszy ku mnie, powiadał jej chlubę;  
Lecz chociaż mówił tak, jak słuchać życze  
W sercu zbolełem, sens był mi zawily.

To wiem, że mowa była o mej milej,  
Bo w niej wracało imię: Beatrycze.  
Tak też rozumiem, panie moje lube.

W teorii spirytualistycznej Dantego duch, oderwany od ciała, stanowi jakby odrębną osobowość. Co opowiada zmysłom ziemskim, jest im niepojęte. Zmysł słuchu jedno chwyta — imię ukochanej pani; po niem poeta domyśla się, kto jest ową ubłogosławioną.

#### PIEKŁO

P. XXXIII, w. 28—84. Epizod Ugolina (warjant)

...Śniło mi się więc, że ten pan nad pany  
Polował wilka i młode wilczęta  
W górach, co kryją Lukę przed Pizany.

Galand, Sismondi, Lafranchi, panięta  
Pizańskie biegli na orszaku czele,  
Z nimi suk sfora chuda i zawzięta.

Lecz pomęczeni, nie ubiegli wiele  
Ojciec i dziatwa; wnet na nich obławy  
Spadły, kły ostre topiąc w wilczem ciele.

Zbudzon przed świtem do bolesnej jawy,  
Słyszę, a przez sen dzieci me, katuszy  
Mej towarzysze, łkają, prosząc strawy.

Srogi, jeśli się nie przerazisz w duszy  
Tego, co senna wróżyła mi zmora,  
Gdy tu nie płaczesz, to cóż cię poruszy?

Już się ocknęli; nadchodziła pora,  
Gdy zwykle jadło podawały straże;  
Od snów nam wszystkim dusza była chora.

Szczęk zdolu straszną prawdę mi ukaże:  
Drzwi zagwoźdżono! zamknięto nas w grobie!...  
Tedy spojrzałem, niemy, w synów twarze.

Jam nie zapłakał; skamieniałem w sobie;  
Lecz chłopcy lkali; mój Anzelmek mały:  
«Ojczy» — rzekł — «patrzysz tak dziwnie! co tobie?»

Jam nie zaszlochał; milczałem dzień cały  
I noc, do chwili, kiedy gwiazdy gasną;  
Aż gdy po nocy tej nastał dzień biały

I kiedy w klatce zrobiło się jasno,  
W cztery oblicza spojrzę, i tak na nie  
Wzrok kładąc, twarz w nich odgaduję własną.

Więc ręce sobie z bólu do krwi ranię,  
A oni, myśląc, że to ból ze czczości,  
Nagle się dźwigną: «Ojczy nasz i panie!»

— Wołają do mnie — «oszczędzisz żalości,  
Z ciał naszych jedząc: tyś nas obłókl niemi,  
Wolno-ć je zezuć z naszych nędznych kości!»

By ich nie ploszyć, zmilknęm, i tak niemi  
Trwaliśmy dwa dni z nadziei zatrąta.  
Czemuś nie pękło twarde łono ziemi?

Aż kiedy czwarty dzień błysnął za kratą,  
Gaddo do kolan moich się przywlecze  
I woła: «Czemu nie ratujesz, tato?...»

Wołał i skonał; jak mnie tu, człowiecze,  
Widzisz, tak każde z mych dzieci konało  
Do dnia szóstego; więc mi wzrok wycieczę

W strugach krwi; poprzez każde martwe ciało  
Pełzam i trzy dni wołam na nieżywe...  
Potem się życie głodem dokonało. —

Skończył i białka wywrócił straszliwe,  
I zęby w czerep znów zapuścił siny,  
Twarde i, jak psie, krwawej kości chciwe.

O Pizo, pięknej zakątko krainy,  
Gdzie brzmi lubego «si» nuta pieszczona,  
Gdy się nie kwapią twych sąsiadów syny,

Niech cię Capraja porwie i Gorgona:  
U Arnowego ujścia tamą wspięta,  
Potopem zguby twych mieszczan dokona.

## PIERWSZY HUMANIZM

FRANCESCO PETRARCA

(1304—1374)

KANCONA «ITALIA MIA»

Italjo moja, gdy próżno się garną  
 Słowa, by mękę twoję  
 I te śmiertelne na twem ciele rany  
 Opisać, niech choć westchnieniem napoję  
 Kraj, co go Tyber zamyka i Arno,  
 I Pad, gdzie dzisiaj żyję zatroskany.  
 Królu, Panie nad Pany!  
 Te litościwe oczy, co cię wiodły  
 Zejść do nas, obróć ku krainie lubej.  
 O, Panie pełen chluby,  
 Patrz, z małych przyczyn taka sroga wojna! —  
 Pierś kamienna i zbrojna,  
 Serce Marsa zajuzne  
 Niech się rozkuje i niech udobrucha,  
 A to, co Bogiem słuszne,  
 Niech z moich lichych ust mój lud wysłucha.

Wy, którym dała fortuna uprząże  
 Na te piękne dzierzawy,  
 Których się gnębić nikt z was nie przestrasza,  
 Mówcie, co znaczą te obce oręże?  
 Nasze kwietne murawy  
 Krew barbarzyńców gwoli czemu zrasza?  
 To jest uluda wasza:  
 Mało widzicie, mniemając, że dużo,  
 W sprzedajnych sercach szukający wiary.  
 Z liczniejszemi sztandary  
 Liczniejszych wrogów ma w tych, co mu służą —  
 Och, ten potok straszliwy  
 Z jakich dzikich ustroni  
 Zebrał się zalać nasze słodkie niwy?  
 A jeśli z własnej dłoni  
 Klęski się walą, kto z nas wyjdzie żywy?

Dobrze to, widzimy, natura się trudzi,  
 Gdy niebosiężne Alpy między nami  
 A tą wściekłością teutońską zasklepia.  
 Lecz nas chciwości wada tak oślepia,  
 Oszukuje i ludzi:  
 Na zdrowem ciele pokładła liszaje;  
 W tej samej żyją kleci  
 Łagodne owce i rozbójcze zgraje,  
 Zacniejszy zawsze pod uciskiem jęczy;  
 A ten wstyd bardziej dręczy,  
 Że z dłoni ludu, który praw nie znosi:  
 Co mu, jak powieść głosi,  
 Marjusz tak przebódl boki  
 I tyle w rzekę ściekło zeń posoki,

Że zwycięzca spragniony  
Więcej niż wody, wypił krwi czerwonej.

Niecham Cezara, co świata rozłogi  
W krwi kapał niegodziwej,  
Żelazem naszym wyprutej z ich łona.  
A dzisiaj zda się, że od gwiazdy mściwej  
Ten los wam spłynął srogi  
Za ziemię, co wam była powierzona.  
Wola wasza zwaśniona  
Najurodziwsze z niw padolnych plami.  
Jakiż to rozmyśl, przeznaczenie, zdrada  
Niepokoił sąsiada  
Pustoszyć jego ubożuchne włości  
I poza granicami  
Zawiazywać sojusze,  
Znosić, że kupeczą życiem dla korzyści.  
Prawdę mówię, bo muszę,  
Nie zaś z pogardy, ani nienawiści.  
Powiedźcie, czy to jeszcze nie pomniecie  
Bajowarskiej obludy,  
Co, wznosząc palec, z śmierci stroi żarty?  
Ten szyd jest gorszy niż klęski i trudy.  
Zato wy się krwawicie,  
I gniew was bodzie na swoich rozżarty.  
Nocą, po trzecie warty  
Myślcie i liczcie, jak skąpo mierzona  
Jest miłość ku wam, gdy sobie tak hojna.  
Italska krwi dostojna,  
Otrząśnij z siebie te zgubne brzemia!  
Jako to nazwa płona:  
«Bożyszczę», co jest niczem,  
Tak onych z wściekłem napozór obliczem,  
Gdy ich rozum nie zdusi,  
To nie ich wyższość, wina w nas tkwić musi.

Nie tu-ż mych kroków strzegła pierwsza wiosna?  
Czy to nie gniazdo moje,  
Ziemia, co słodkiem mlekiem mię karmiła,  
Moja ojczyzna, bezpieczeństwo moje?  
Macierz czuła, litosna,  
Gdzie spoczywają ojciec, matka miła.  
Trudno, by nie wzruszyła  
Myśl ta: niech się nią bezlitość przelamie.  
Patrząc na boleść ludu,  
Co od was, niby cudu,  
Oczekuje pokoju;  
Od was po Bogu; a gdy w was nie skłamię  
Jakieś spólcucia znamię,  
To moc przeciw zajusze  
Podejmie walkę; krótko będzie trwała.  
Stara dzielność, tak tuszę,  
W italskiej piersi jeszcze nie zwałłala.

Panowie, patrzcie: czasu nie ubłaga:  
Za czasem biegnie życie;

Dziś tu jesteście, jutro — w jakim bycie?  
 Dusza samotna, naga  
 Pójdzie: czeka ją niebezpieczna ścieżka.  
 Wejść na nią nie omieszka,  
 Niechże złości się chroni,  
 Wichury wrogiej ludzkiego żywota.  
 A to, co się w was miota  
 Przeciw rodakom, ku czynom się skłoni  
 Godnym ducha czy dłoni,  
 Na dzieło czci i chluby,  
 Lub na szukanie prawdy, trudu warte,  
 Świat się wypiększy luby  
 A wrota nieba będą wam otwarte.

Pieśni, leć z mem poselstwem,  
 Wywody swoje ułożywszy grzecznie.  
 Między lud dumny wstąpić ci wypada,  
 W których łonie zasiada  
 Prastara wzgarda: tknąć ją niebezpiecznie,  
 Z prawdą zwaśniona wiecznie. —  
 Ale cię przyjmie może  
 Ktoś wielkoduszny: o tym dobrze rokuj.  
 Pytaj: kto mi pomoże?  
 Oto w głos wołam: Pokój, pokój, pokój!

(*Kancona «Italia mia», I, CXXVIII.*)

#### SONET

«*Pace non trovo*»

Choć wojny nie chcę, pokój we mnie kona,  
 Strach mi a pragnę, marznę a war żre mię,  
 Wzlatam ku niebu, opadam na ziemię  
 I bez uścisku świat biorę w ramiona.

Ktoś mi folguje, a strzeże mych kroków,  
 Swoim mię zowiąc — niema o mnie pieczy:  
 Ani mię rani miłość, ani leczy,  
 Nie chce mej śmierci, a nie puszcza z oków.

Widzę bez oczu, bez języka krzyczę;  
 I pragnę zginać, i wołam w potrzebie,  
 Miluję kogoś, siebie nienawidzę:

Boleść — mój pokarm, płacz za napój liczę,  
 Życiem i śmiercią zarówno się brzydzę,  
 — Wszystko to, pani, przenoszę dla ciebie.

Sonet powyższy jest zbudowany na stylistycznej figurze sprzeczności (kontrast), która przejdzie do baroku i przetrwa aż do naszej przedziwnej kolędy: Bóg się rodzi, moc truchleje...

#### SONET

*S'amor non è che dunque è quel qu'io sento (Son. 88)*

Jeśli nie miłość, cóż jest, co ja czuję?  
 Jeżeli miłość, co w niej jest za władza?  
 Gdy dobra, czemu śmierć na mnie sprowadza,  
 Gdy zła, dlaczego w tem złem się lubuję?

Jeżeli chętnie płonę, czemu boli?  
 Jeśli niechętnie, to-ć lament daremny;  
 O żywa śmierci, o bólu przyjemny,  
 Czem zdołasz działać tyle wbrew mej woli?

A jeśli z wolą, to czemuż się żalę?  
 Śród sprzecznych wiatrów jestem jak podróżny  
 W łodzi bez steru rzucony na fale:

Ciemnością pełny a mądrości próżny:  
 Nie wiem, czego chcę, co się ze mną dzieje,  
 Drzę pośród lata, a w zimie goreję.

#### WEJŚCIE NA «GÓRĘ WIETRZNĄ»

Wyszedłem na górę najwyższą tej części kraju, którą słusznie zowią «Wietrzną», z samej chęci oglądania niezwykłego szczytu: oddawna żywiłem w duszy to życzenie, od dziecka bawilem w tych stronach, jak wiesz, losu zrządzeniem przebywałem.

Góra bowiem zdaleka zewsząd jest jakgdyby na oczach widna. Chęć moja zaczęła rósć, zwłaszcza kiedy czytającemu stare dzieje rzymskie u Liwjusza nasuwało się to miejsce, kiedy to Filip, król macedoński, ten sam, który prowadził wojnę z Rzymianami, wstąpił na górę Haemon w Tesalji, gdzie ze szczytu dwa morza oglądał, rzekomo Adrjatyk i Euksyn; prawda-li czy nieprawda — nie wiem, bo i góra naszych dziedzin jest daleka i niezgoda pisarzy czyni rzecz niepewną... Lecz wracam do owej góry: Szukając towarzysza, dziw powiedzieć, zaledwie jednego znalazłem odpowiedniego do wyprawy. Tak bowiem, nawet między drogimi sobie, rzadka jest zgodna jednolitość woli i usposobień...

Zwracam się tedy po pomoc do najbliższych, zwierzam się z zamysłem swoim jednemu bratu, młodszemu wiekiem, znanemu tobie. Nic nie mogło uradować go bardziej — był mi bowiem tak przyjacielem, jak bratem. Oznaczyliśmy dzień, wyszliśmy z domu i nad wieczorem przybyliśmy do Malanceny: miejscowość ta leży u podnóża góry, zwrócona ku północy. Tam zatrzymaliśmy się jeden dzień i dziś potajemnie z kilkoma posługaczami weszliśmy na szczyt, nie bez wielkiego trudu, góra jest bowiem spękana i prawie niedostępna z powodu gruntu kamienistego. Ale dobrze powiedział poeta: «Praca mozolna wszystko przewycięża».

Dzień pogodny, powietrze czyste, duszna ochota, tęgość i zręczność mięśni, u wszystkich jednakie i u wszystkich na zawołanie. Przeszkadzała nam jedynie natura miejsca. Spotkałiśmy w jednej dolinie starego pasterza, ten nas usilnie od wstępowania odwoził, powiadając, że sam przed 50-ciu laty w młodzieńczej porywczosci na szczyt się wspinał, ale nie stamtąd nie przyniósł, prócz rozczarowania, zmęczenia, poraniony, w ubraniu podziurawionem na skałach i cierniach; nie słyszał też ani przedtem, ani potem, aby ktoś na to samo się ważył. Kiedy tak rozgadywał, w nas młodych, niedbających o przestrogi, rosła owszem ochota dopięcia celu. Starzec tedy, spostrzegłszy, że próżno się trudzi, podszedłszy nieco dalej, między skałami stromą ścieżkę palcem nam ukazał, jeszcze raz upominając i zdaleka nas wzdychaniami żalosiemi ścigając. Pozostawiliśmy na dole odzież i wszystko, co mogło nam zawadzać, i przygotowawszy się, ochoczo poszliśmy naprzód. Ale, jak się zwykle dzieje, za zbytнім wysiłkiem idzie prędkie zmęczenie. Niedaleko zatem na skale usiedliśmy. Stamtąd już powolniej, zwłaszcza ja, gdy brat szedł prosto w górę, krążyłem niższemi przejściami, a gdy mi wskazywał prostą ścieżkę, odpowiadałem, że z drugiej strony spodziewam się znaleźć łatwiejszy dostęp i że nie przestrasza mię dłuższa droga.

Tą wymówką zasłaniałem gnuśność, i gdy tamci już dosięgali szczytu, ja po dolinach błądziłem, nigdzie jednak nie znajdując łagodniejszego stoku; tymczasem droga i zmęczenie rosły...

Śród ciągłego błądzenia w jednej dolinie spocząłem. Tam po chwili takimi do się przemówiłem słowy: «Co się tobie dziś zdarzało przy wchodzeniu na górę, to może



się także zdarzyć jeszcze zarówno tobie, jak i drugim w dążeniu do szczęśliwości. Ale tego ludzie nie spostrzegają, gdyż działania cielesne są jawne, duszne zaś zakryte. A przecież życie, które zowiemy szczęsnem, położone jest wysoko i ciasna ku niemu wiedzie droga...» Przełącz leży najwyżej, którą gmin nazywa «synkiem», nie wiemy dla- czego...

Na wierzchu mała równinka, tam nakoniec, zatrzymawszy się, odpoczęliśmy. A skoro slyszales, jakie przy wyteżonem wejściu przebyliśmy trudy, uslysz, ojeze, reszte i jedną godzinę poświęć całodziennej mojej pracy. Naprzód więc niezwykłem technieniem wiatru i swobodnym naokół widokiem przejęty, jakby osłupiały, stanąłem. Spojrzę, chmury sunęły pod nogami. Już mniej nieprawdopodobne wydały mi się Athos i Olimp, gdy to, co o nich slyszalem i czytałem, na górze mniejszej sławy spostrzegam. Zwracam następnie promienie oczu ku dziedzinom Italji, gdzie się bardziej duch mój skłania: Alpy owe, sterczące i ośnieżone, które niegdyś dziki wróg istnienia rzymskiego przekroczył, ostrym płynem, jeżeli wierzyć wieści, skały krusząc, naprzeciw siebie oglądałem, choć z dalekiej odległości. Westchnąłem, wyznam, ku italskim sferom, duchowi raczej widnym, niż wzrokowi, i ogarnęło mię niewymowne pragnienie oglądania przyjaciela i ojczyzny, a równocześnie karcilem w sobie słabość niedojrzałego jeszcze ku męskości wieku; choć niebrak mi było usprawiedliwienia w znamienitych podobnego stanu przykładach. Zajął mię potem inna myśl i od miejsca, gdzie byłem, powiodła ku biegowi żywota. Powiadałem sam do siebie: «Dziś dopełnił się rok dziesiąty, jak, porzucając studja chłopięce, wyjechałeś z Bolonji. O Boże nieśmiertelny, o nieodmienna mądrości, jakież, jak wielkie zmiany twego duchowego życia ów średni wiek oglądał! Nieskończone, więc je pomijam. Nie dobiłem jeszcze do portu, aby pamięcią wracać do minionych burz. Czas może nadejdzie, kiedy w tym porządku, jak się zdarzyły, wszystkie przebiegnę za przykładem św. Augustyna: Przypomnieć pragnę czyny brzydoty mojej, nie abym sobie w nich podobał, ale abym ukochał Ciebie, Boże mój. Bo dolega mi wiele wątpliwych i uciążliwych spraw: Co kochać zwykłem, tego już nie kocham, — nieprawdę mówię: kocham, ale obyczajniej, ale smutniej. Prawdę wyrzekłem, kocham, ale czegobym kochać nie chciał i cobym chciał mieć w nienawiści. Kocham jednak, lecz niechętnie, lecz z przymusu, lecz smutny i bolejący; na sobie samym sprawdzam treść głośnego wiersza: «Gdy będę mógł, znie-nawidzę; gdy nie, kochać będę niechętnie». Nie minął mi jeszcze trzeci rok, odkąd ta namiętność przewrotna i niecna ze wszystkim mię ogarnęła i w siedlisku serca mego sama bez sprzeciwu rządziła, aż trafiła na inną zbuntowaną i oporną...»

*(Francisci Petrarcae, De rebus familiaribus, l. IV, epist. 1.)*

## GIOVANNI BOCCACCIO

(1313—1375)

FILOCOLO

Ks. V, Sprawa I

Po prawicy królowej zasiadł Filocolo, któremu ona rzekła: «Przedstawcie, młody panie, rzecz waszą, aby następni w porządku, jak tu siedzimy, swobodnie po was swoje powiadali».

Odrzekł Filocolo: «Szlachetna pani, bez zwłoki usłucham rozkazu waszego». I począł w te słowa:

«Pomnę, że w mieście, gdzie się urodziłem, dnia jednego zabawę piękną ustrojono, na której wielu rycerzy i panien się znalazło. Ja — między nimi — wodziłem oczyma po obecnych i obaczyłem dwóch młodzieńców bardzo dorodnej postaci; obydwa w wzroku z panny przecudnej nie spuszczały, i nie poznalbyś, który większym ku niej płonął afektem. A gdy tak długo na nią poglądali, a ona na żadnego z nich baczenia większego nie dawała, jęli pogwarzać o niej między sobą i, oprócz innych, to z rozmowy ich zasłyszałem, że każdy uważał siebie za miłego oczom panny i do siebie wszelkie jej poczynania stosował.

I gdy długo o tej materji rozprawiali i od wielu słów do zwady już dochodziło, zrozumieli, że źle czynili, ponieważ w tym sposobie siebie o wstyd i szkodę, a pannę o przykrość przyprawić mogli. Zaczem wspólną zgodą wiedzeni, samowtór przed matką panny stanęli, która równie na zabawie przytomna była, i wobec niej wyznali, że tak sprawa stoi, iż ponad wszystko w świecie jej córka im jest miła; pytają więc, którego z dwóch ona wybierze i niech im tę łaskę zechce uczynić, aby większa kłótnia wśród nich nie powstała, niech przeto córce rozkaże, by słowem lub czynem wskazała, którego bardziej miłuje.

Odpowie ze śmiechem białogłowa, że chętnie to uczyni, a przywoławszy dziewczecze, tak jej rzecze: «Piękna córeczko, każdy z nich miłuje cię bardziej od siebie; pytają więc, któren ci jest miłszy, i o łaskę proszą, abys upewniła ich znakiem lub słowem, dlatego, by z miłości, która spokój i dobro rodzić powinna, waśni nie powstała. Uczyni po ich woli i wskaż dwornem skinieniem, do którego serce twe się skłania». — Rzekła młódka: «Podoba mi się to», a oglądając na obu, ujrzała, że jeden głowę ozdobił wieniec świeżym z ziela i kwiecica, drugi zaś był bez wienca. Więc panna, która także na głowie równiankę zieloną nosiła, naprzód swoją zdjęła i uwienczyła nią tego, który stał przed nią bez wienca, a następnie wieniec z głowy drugiego zdjęła i siebie nim ozdobiła, poczem, poniechawszy obu, wróciła do zabawy, powiadając, że wedle wskazania matki wypełniła ich wolę.

Młodzieńcy, zostawszy sami, do poprzedniego powrócili sporu i każdy twierdził, że bardziej od panny jest kochany. Ten, którego wieniec młódka wzięła i włożyła sobie na głowę, powiadał: «Zaprawdę, mnie bardziej miłuje, gdyż nikomu, jedno mnie wieniec zabrała, dlatego, że w mej osobie znalazła upodobanie i że chwyciła sposobność, aby mi to okazać. Tobie zaś swój oddała, jakby na ostateczną odprawę, nie chcąc, niby chłopka, zostawić twej miłości bez daru».

Drugi, przeciwnie, tak powiadał: «Zaprawdę, młódka twoje rzeczy nad ciebie przynosi, a po tem poznasz, że ci je zabrała; lecz mnie ponad rzeczy moje miłuje, gdyż swoim mnie obdarowała; dar zaś nie pożegnanie oznacza, jako ty prawisz, lecz początkiem jest przyjaźni i kochania. Dar czyni przyjmującego poddanym dawcy, więc ona może mnie niepewna upewniła się, biorąc mnie za lennika, i darem przywiązała do się, gdybym nim nie był jeszcze. Lecz ty, jakże rozumieć możesz, że ciebie nad innych wynosi, niczem cię nie obdarzając?»

I tak prawiąc, długo bawili, a rozeszli się, nie rozstrzygnąwszy.

Ja zaś rzekę: «O wielka królowo, gdyby z ust waszych ostateczny wyrok miał zapasć, jakbyście osądzili?»

Z oczyma miłością prześwietlonemi, uśmiechnięta lekko, zwróciła się piękna pani do Filocola, a westchnąwszy cicho, tak pocznie: «Szlachetny młodzieńcze, piękna jest powieść twoja i roztropnie zaprawdę postąpiła panna, a obaj miłośnicy roztropnie swej bronili sprawy. Lecz gdy o wyrok ostateczny prosicie, tak wam odpowiemy: Widzi nam się, a równie wszystkim, którzy subtelnie sądzą, że panna miłuje jednego, lecz że do drugiego nienawiści nie żywi; lecz aby afekt swój utaić, dwie rzeczy pozornie sprzeczne uczyniła, a to nie bez celu, bo i rozmiłowała w sobie bardziej tego, który jej był drogi, a drugiego od siebie nie oddaliła. Więc roztropny to był postępek, zaś do sprawy wracając, któremu z dwóch więcej miłości okazała, powiemy, że ten, którego wiankiem obdarzyła, zdobył jej miłość, a dlaczego wywiode:

Gdy mąż lub niewiasta miłuje kogoś, mocą kochania tak go do przedmiotu miłości przywiąże, iż ponad wszystko przypodobać mu się stara, czyni to darem czy usługą, i to jest rzecz oczywista. Zważny jednak, że, gdy ktoś miłuje, nad miłością rozmyśla, to stara się zdobyć przychylność osoby kochanej i wzbudzić w niej pragnienia rozkoszy, i móc te pragnienia śmiało wypowiedzieć. A że tak jest, jak powiadam, łatwo z postępkuw rozgorzałej Dydony poznać możemy, która płonęła już miłością do Eneasza, gdy mimo zaszczyty i dary nie zdawał się dość przywiązany, nie miała przecie śmiałości wejść na niepewną drogę błagania. Tak i panna sercem wybranego chciała do siebie przywiązać. Tak tedy mniemam, że ów obdarowany równianką był pannie miłszy».

Rzekł Filocolo, gdy zamilkła królowa:

«Roztropna pani! Godna jest odpowiedź wasza pochwały, lecz mimo iż podziw we mnie budzicie tem, coście o sprawie owej rzekli, nie lza, bym sądził tak samo. Wiadomo, iż obyczajem jest kochanków, aby pragnęli mieć przy sobie klejnot jakiś osoby umiłowanej i chlubić się jego posiadaniem, a czując go przy sobie, uciechę mieć wielką. Jak słyszeliście może, rzadko lub nigdy nie stawał Parys do walki zacieklej z Grekami bez szarfy z daru Heleny mu danej, gdyż czuł, że ona męstwa mu przysparza, zdaniem mojem, słusznie.

Dlatego zaś tak mówię, że, jak powiadaliście, mądrze postąpiła młódka, lecz ją tę sprawę wyłożę odmiennie. Wiedziała dziewczyna, że przez dwóch gorąco kochana więcej niż jednego kochać nie może, ponieważ miłość nie jest rzeczą podzielną; chciała więc jednemu miłość wynagrodzić, aby skłonność jego bez nagrody nie została, i temu ofiarowała równiankę. Drugiemu wybranemu chciała dodać odwagi, utrwalić w nadziei, że mu jest wzajemna, wzięła więc jego wieniec i siebie nim przystroiła; a tem okazała, że mu za jego dar jest obowiązana. Przeto, zdaniem mojem, umiłowała nie obdarowanego, lecz któremu odebrała wieniec...» Na to szlachetna pani rzekła: «Bardzoby nam do serca przypadło, co powiadacie, gdybyście sami słów waszych nie psuli. Spójrzycie, jakże to miłość doskonała z grabieżą może iść w parze?

Jak możecie powiadać, że kochamy tego, któremu odbieramy, bardziej od tego, którego darzymy? A przecież dar jest najbardziej oczywistym znakiem miłości.

Według opowieści, ona oddała wieniec jednemu, a drugiemu zabrała, a nie dostała go od niego; a wystarczy to, na co spoglądamy codziennie: że ci są panów ulubieńcami, którzy łaski dary otrzymują, a nie ci, którym się ich własność odbiera; rozstrzygamy więc ostatecznie, że ten był miłszy, którego obdarzono, a nie ten, któremu zabrano. Wiadomo, że w sprawie dzisiejszej wieleby można przeciw nam powiadać i zarzuty odpierać. Lecz ostatecznie wyrok ten pozostanie słuszny, a ponieważ czasu nie starczy, by go trwonić na jedną sprawę, nie mówmy o tem więcej; zaczem innych posłuchajmy».

Na to Filocolo odrzekł, że wielce mu się spodobało i zadowolilo owo rozstrzygnięcie, i tu zamilkli.

(*Giov. Boccacci, Il Filocolo, l. V, qu. 1.*)

## ODRODZENIE

(XV I XVI W. — QUATTROCENTO I CINQUECENTO)

LEON BATTISTA ALBERTI

(1405?—1472)

WIECZERZA RODZINNA (DIALOG)

Rozmowcy: Leon Baptysta, Franciszek Mateusz.

Baptysta: Kiedy dziś poglądam to na jednego, to na drugiego naszego wnuka, milcząco czuję radość i zadowolenie, rozpoznając w nich kształty i ruchy, i wyraz twarzy naszych ojców i braci; widzę, jak są dzielni i zwinni bez fałszywej skromności, a takimi — mam nadzieję — pozostaną, podobni chlubą naszym przodkom, godni nosić nazwisko Albertich — dzięki Bogu — na swoją chwałę. Zaprawdę, nasi Albertowie z nieznanych mi przyczyn — a tu ich nie będę dochodził — byli cenieni i kochani nawet od tych, co ich zaledwie znali z nazwiska, nam zaś pozostała po nich dobra pamięć i życzliwość ludzka.

Mateusz: Zatem tu wobec młodych należy wskazać, co ją w oczach naszych podnosi... Słuchajcież, młodzi Albertowie, i dowiedźcie się powodów, dlaczego nasi przodkowie byli szanowani i kochani; zaczem usilnie starajcie się naśladować ich, nauczcie sposobu zdobywania łaski i sławy. Pierwszą z przyczyn było rozgałęzienie rodu Albertów, potem ich dobrobyt, nieustanne przysparzanie majątności przez uczciwość, czynność, zyskiwanie przyjaciół... Ale co najbardziej podoba mi się u naszych przodków, to owa,

jak mniemam, główna przyczyna wzięłości, duch rodzinny, nieustanna łączność, łańcuch wiążący silnie ich braterstwo, tak pełne ukochania i przychylności, jak je dziś oglądam u Baptysty, który swą osobą daje przykład, jakimiśmy po nim być powinni...

(Leon Battista Alberti, *Opere volgari, Firenze 1844—1850, t. I, str. 165—167.*)

#### O MALARSTWIE

Ukazaliśmy wyżej, jaką zdolność posiada światło w odmienianiu barw; jak ta sama barwa w świetle jest inna niż w cieniu; powiedzieliśmy też, że biel i czerń wyrazi jasność i mrok; inne barwy są dla malarza jakby materją, do której przyłącza się światło i cień. Pozostaje rzecz, w jakiej mierze malarz ma używać światła i cienia. Powiadają, że starożytni malarze Polignot i Timant używali jeno czterech barw; dziwiono się też, że Aglaofont rozkoszował się malowaniem z pomocą jednej tylko barwy...

Twierdzą, że zapewne liczba i różnorodność barw są w malarstwie wielce pomocne, ale zgadzam się ze starożytnymi w tem, że najwyższa biegłość i sztuka leżą w umiejętności używania czerni i bieli. Ku temu trzeba skierować wszystką wiedzę i staranność, bo jak światłocien wywołuje w rzeczach wrażenie wypukłości, podobnie czerń i biel w malarstwie. To jest źródło owej sławy, jaką posiadł Nikjas, malarz ateński. Mówią, że najslawniejszy Zeuksis miał być jakby księciem innych w owej sztuce pojmowania siły światła i cienia... Co do mnie, będę nadewszystko chwalił wizerunki, które, zda się, jakgdyby występowały z ram, a będę ganił te, gdzie nie widać innej sztuki prócz rysunku. Lubię dobry rysunek, w dobrej kompozycji, dobrze ubarwiony.

(*Tamże, t. IV, ks. II, rozdz. 25.*)

#### GIOVANNI PONTANO

(1426—1503)

##### PIĘCIOLATEK (QUINQUENIUS) I PELVINA

Pięciolatek: Powiedz mi, mamo, powiedz mi, jedyna,  
Kto to ten Orcus?

Pelvina: To bożek jest złośliwy,  
Strasznie na dzieci srogi. Cień jego łązi,  
Zębami kłapie; cień łązi we dnie i w nocy,  
Bije pałką i chwytą rękoma, rozdziera szponami,  
Pochłania paszczą dzieci, co płaczą w łóžeczku,  
Stroją dąsy i nie chcą chwytac się piersi.  
Zato takiego głaszcze i merda do niego ogonem,  
Gdy się uśmiecha do matki i prędko zasypia,  
Takiego, co zażywa z ochotą gorzkie ziółka...

Pięciolatek pyta dalej, kto jest dobry Bóg.

Pelvina: On znosi garści jabłuszek i przypiekane  
Placuszki dzieciom, co w szkole uczą się liter  
I powtarzają z pamięci wierszowane bajeczki...

Pięciolatek: Czy on też da mi poziomek i w króbcie czereśni,  
Jeśli nie zadrę jutro z chłopcami w szkole?

Pelvina: Ja sama dodam cedratu i moreli,  
Wiszących jeszcze na zielonej gałazce,  
Jeśli nie będziesz na podolek Otylji  
Robił nocami siusiu. Toż ona ssać ci dawała...

##### EKLOGA: LUCIOLUS (ŚWIETLICZEK) I PONTANO

Dziecino luba, jedyna, chłopię przesłodkie,  
Zmruż słabiuchne oczęta, skryj delikatne liczko.  
Czyż ci nie radzi sen: Zmruż oczy, przytұл lica?

Suczka znudzona leży i odpoczywa;  
 Świeliczek oczki zaspane mruży i kryje.  
 Powiej, wietrzyku, popieść mi dziecię cichutkie.  
 Szumią gałęzie, wietrzyk świeży nadlata.  
 Dziecino luba, chłopię przesłodkie, zaśnij,  
 Wietrzyk cię pieści, matka tuli do łona...

(G. Pontano, *Carmina*, ed. Soldati, Firenze 1902, 2 vol.  
*Teksty niniejsze, w oryginalne heksametry, wybrane z dzieła Ph. Monnier,*  
*Paris 1901, 2 vol., vol. I, p. 319—321.)*

## JACOPO SANNAZZARO

(1456—1530)

### ARKADJA

#### Opowiadanie Ergasta

Proza I w formie frottoli, z rymem środkowym.

<p>W krynicznej wodzie prawie po kolana,          Fałą pryskana, w ciepłym słońcu stała          I chusty prała, przyśpiewując rada.          Lecz gdy — «o biada» — ujrzała mię dziewczka          Urocza, śpiewka umilkła odrazu.          Stałem jak z głazu; na większą udrękę          Ścisła sukienkę, nagle się odwróci</p>	<p>I sobą rzuci, po pas kryjąc w fałę,          A ja się żalę niewymownej szkody          I mdleję; z wody dziewczyna wyskoczy,          Zalewa oczy łzami, aż się ślania.          Na jej wołania wbiegają pasterze,          Ponad wybrzeżem zdroju koczujący...</p>
--	--

#### Proza V

Żal na śmierć pasterza Androgea w formie kancony petrarkicznej  
 z odgłosami wergiljańskimi.

<p>Duchu piękny i święty,          Któryś ziemskie regjony          Rzucił i świat padolny.          Niekępowany już ziemskimi pęty,          Z gwiazdą swą zespolony,          Żywiesz, doczesnych umiłowań wolny,          Blaskiem na świat okolny          Lśniesz, równych duchów otoczon gromadą,          Krążąc po planet szlaku          Niebieskiego zodiaku.          Śród nurtów, nad kaskadą          Twój dwór się życiem cieszy;          Stamtąd panujesz swej pasterskiej rzeszy.</p> <p>Inne góry i nize,          Gaje, krynice rwiste,          Inne tam kwiaty na niebieskiej bloni;          Fauny, Sylwany chyże          Zamieszkują cieniste          Gąszcze, każdy tam swoją nimfę goni,          Wkrąg wonne rosna drzewa;          W cieniu siedzą i nuca          Dafnis i Melibeo;          Przy nich nasz Androgeo:          W trzech niebo rozesmuca,          Powietrze rozedzwonia          Swą niesłyszaną u niebian harmonją.</p>	<p>Czem jest bluszcz dla leszczyny,          A byk dla swego stada,          A dla pól zagon kłosami poszyty,          Tem on dla swej drużyny;          W nim chwałę swą zakłada.          Śmierci, któż ujdzie żądzy twej niesytej,          Gdy kruszysz skalne szczyty?          Czyż w tej ziemskiej dziedzinie          Drugi taki gdzie słynie,          By śpiewem rozzieleniał          Gaje i liściem strumienie ocieniał?</p> <p>Płaczą śmierci pasterza,          Boginie płaczą święte,          Wiedzą już o niej zdroje, buki, grotty,          Murawy i nadbrzeża,          Ziola jakby podcięte,          Słońce się kryje za wschodniemi wroty,          Wyjść nie mając ochoty.          Na ruń dzikie zwierzęta,          Trzody ciągnąc się boją,          Ni się pasą, ni poją,          Tak je śmierci żal pęta;          Z rana, we dnie, wieczorem,          Hej, Androgeo, ten jęk chodzi borem.</p>
--	--

(J. Sannazaro, *L'Arcadia*, Class. ital., Vol. 52, Torino 1926.)

## SERAFINO D'AQUILA

(1466—1500)

## STRAMBOTTO

Każą twe oczy sercu: fora, fora!  
 Przeciw nim twa obrona marna, marna;  
 Hu, hu, hu, rabuj, rabuj, zabij, zabij,  
 W ogień, ogień, do lodu, lodu, żywo, żywo!  
 Na to ja cicho, cicho, głośno, głośno:  
 Przyjdź, o przyjdź, bieżaj, bieżaj, śmierci, śmierci,  
 Albo znów głośniej, głośniej, ciszej, ciszej:  
 Hej, wody, wody, gore, gore, rety, rety!

## SONET

Zczasem pod jarzma lęk wieśniak uklada  
 Rozjuszzonego, niekarnego byka;  
 Zczasem krogulec do hasła przywyka,  
 Wściąga lot górny i na pięści siada.

Zczasem nie wzdraga się swego łańcucha  
 Niedźwiedź, odyniec przydomawia wściekły;  
 Zczasem gór granit, gdy weń wody wciekły,  
 W proch się rozpada, niby wydma krucha.

Zczasem się wali najtęższe z drzew boru,  
 Zczasem się zniża górskiej turni ściana;  
 Tylko ja złamać nie mogę oporu

Serca, skąd wszelka słodycz jest zabrana.  
 Ona przewyższa w dumie nieużytej  
 Niedźwiedzie, byki, krogulce, granity.

*(Opere dello elegantissimo poeta Serafino Aquilano, Firenze 1516.)*

## BENEDETTO CARITEO-GARETH

(1450—1516)

## SONET

Ja i ty, pani, pójdziem niewątpliwie  
 Razem za Styksu nieustępną falę:  
 Ty — żeś okrutna, ja — że zbyt zuchwale  
 Oczy wieszałem na niebiańskim dziwie.

Lecz, że mój widok jest ci przykry, pani,  
 Większa ma radość, twój ból będzie większy;  
 Tem się mój żywot piekielny wypiększy,  
 Sam będę wesół wśród smutnej kompanji.

Ołśniony blaskiem nadziemskiej urody,  
 Będę miał wizję raję pośród piekła:  
 Zaprawdę, większej nie pragnę nagrody;

Gdy będziesz przy mnie, próżno dowcip strwoni  
 Szatańska sfora, choćby się zaciekla:  
 Kto chce mej męki, niech mi wzrok przysłoni.

*(Benedetto Gareth, dello Il Cariteo, 2 vol., ed. Percopo, Napoli 1892.)*

## BALDASSARE CASTIGLIONE

(1478—1529)

## NA ŚMIERĆ RAFAELA MALARZA

Że ratując od śmierci, zbawienne niósł leki  
Twoim okaleczalym członkom, Hippolycie,  
Asklepjos sam był porwan w nurty martwej rzeki:  
Tak skonem własnym cudze mistrz okupił życie.

Podobnie ty, gdy Rzymu pokruszone ciało,  
Trup żzarty ogniem, mieczem i długimi laty,  
Rafa elu, chcesz wrócić sztuką doskonałą  
Do bytu i prastare wrócić mu poświęty,

Wzbudziłeś Bogów zawiść. Przeto się obrusza  
Śmierć, że przez ciebie wstąpi w martwy zewłok dusza,  
Że co wiek długi zniszczył i w nicość podawa,

Umiesz ocucić, czasu pogwałciwszy prawa.  
Zaczem nędzny z jej ręki w młodem giniesz lecie,  
Ucząc, że wladztwo śmierci jest najwyższe w świecie.

(*Baldassare Castiglione, Opere volgari, ed. Volpi, 1733, p. 353.*)

## DWORZANIN

Ks. II, § 54—55

Dolożył tedy pan Bernardo: Mierna przesada nudzi; ale niepomierna pociąga do śmiechu. Tak kiedy ktoś rozprawia o swojej wielkości, dzielności, szlachectwie, zaś niewiasty — ta o swej urodzie, ta o czułości. Jak niedawno pewna szlachetna pani, kiedy na wielkiej zabawie stała jakby niechętnie, zamysłona w sobie. Owoż kiedy ją pytano, czemu taka smutna, odrzekła: «Myslałam o jednej rzeczy, która, gdy ją przypomnę, wiele mię gnębi, tak, że nie mogę wyrzec jej z serca; to jest kiedy w dzień Sądu Ostatecznego ciała zmarłych zmartwychpowstaną i zjawią się bez odzienia przed trybunałem Chrysta, to nie mogę znieść męki, przemyśliwając, że i moje będzie oglądane wcale nagie». Taka przesada, wychodząca poza granice, budzi raczej śmiech niż nudę. Takie lgarstwa, co wybrańsze, rozśmieszają; wszystkim to wiadomo. A ten oto nasz towarzysz, co ich zna niemało, temi dniami opowiedział mi jedno przewyborne. — Rzekł tedy Juljan Wspaniały:<sup>1</sup> «Niech będzie, jak chce, ale ani lepszego, ani trefniejszego nie znam od tego, co mi go jako rzecz najpewniejszą opowiedział pewien nasz Toskańczyk, kupiec z Lukki». — «Powtórz go Wasza Miłość» — rzekła księżna<sup>2</sup>. Odpowiedział ze śmiechem Juljan Wspaniały: «Ów kupiec, wedle słów własnych, przebywając pewnego czasu w Polsce, zamierzył nakupić futer sobolowych, aby je przywieźć do Italji i tu na nich sporo zarobić. Po wielu zabiegach, nie mogąc osobiście pojechać do Moskwy z powodu wojny, jaka wówczas toczyła się między królem polskim a księciem moskiewskim, przez pośrednictwo niektórych mieszkańców polecił, aby w dniu oznaczonym kupcy moskiewscy ze swojemi sobolami stawili się na granicy Polski, i przyrzekł ze swej strony, że sam tam przybędzie. Wyruszywszy zatem nasz Lukańczyk z towarzyszami w stronę Moskwy, przybył nad Borystenes<sup>3</sup> i znalazł, że był cały pokryty lodem twardym jak marmur; obaczył też, że Moskowici, pod grozą wojny obawiający się Polaków, stali już po drugiej stronie, ale oddzieleni na szerokość rzeki. Zatem porozumiewszy się wzajemnie zapomocą znaków, Moskowici poczęli mówić głośno, wymieniając cenę swoich soboli; ale mróz był tak srogi, że ich nie słyszano, bo wyrazy

<sup>1</sup> Juljan Medycejski.<sup>2</sup> Elżbieta Gonzaga.<sup>3</sup> Dniepr.

zamarzały po drodze i trwały zamarznięte; dlatego też Polacy, znający ów obyczaj, rozpalili wielki ogień w samym środku rzeki, bo tam wedle ich rachuby znajdowała się granica, dokąd dochodził głos jeszcze na ciepło, zanim go mróz pochwycił, a lód był jeszcze tak gruby, że mógł wytrzymać ognisko. Skoro tak uczyniono, wyrazy, które były zamarzły na całą godzinę, poczęły tajać i polatać z szelestem, niby śnieg na górach w maju, i słyszano je doskonale, choć tamci ludzie już odeszli. Jednak ponieważ widno było z onych słów, że cena za sobole była zbyt wysoka, nie zakupił nic i powrócił bez futer.<sup>1</sup>

(*Il Libro del Cortegiano del conte Baldassar Castiglione, ed. Seherillo, Milano, Hoepli, 1928.*)

## FLORENCJA

NICCOLO MACHIAVELLI

(1469—1527)

KSIĄŻĘ

(*Il Principe*)

Założenie «Księcia»: umiejętność rządzenia państwem podbitem.

Rozróżnia księstwa dziedziczne i nowe, a zajmuje się jeno drugimi.

1. Skoro opanowało się państwo poddane innemu księciu, a nie istnieje przeciw zaborecy nienawiść narodowa, należy — aby tamże rządzić spokojnie — wyniszczyć naprzód rasę starego władcy (to wyniszczenie jest warunkiem niezbędnym), nie odmieńnić krajowych praw i nie podnosić podatków.

2. Jeżeli opanowało się państwo wolne i przyzwyczajone do samorządu, pierwszym środkiem utrzymania się na tronie jest wyniszczenie go, drugim zamieszkanie w niem własną osobą, trzecim kolonizacja. «Kto opanowawszy państwo przyzwyczajone do wolności, nie zniszczy go, niechaj czeka, że ono go zniszczy».

3. Ludzi wpływowych należy albo pozyskać pieśzcotami, albo ich wygładzić.

4. Nowy książę utrzymuje się często przez zbrodnię; tu wymienione przykłady: Cezara Borgji, który zgromadza książąt i każe ich więzić i dusić; Agatoklesa, tyrana Syrakuz, Oliveretta etc.

5. Jeżeli istnieją tacy, którzy po podobnych zbrodniach nie utrzymali się, to nie dlatego, iż byli okrutni, ale że z okrucieństwa zły czynili użytek.

6. Nowy książę nie może obejść się bez okrucieństwa. Cezar Borgia uchodził za okrutnego — ale srogości jego uspokoiły, odnowiły Romanję i przyuczyły ją do wierności; dla takich celów winien książę puszczać mimo uszu zarzuty i nagany.

7. Pytano, czy lepiej zasługiwać na miłość, czy na obawę. Ponieważ trudno zasługiwać na oboje, lepiej wybrać tę drugą.

8. Byłoby błogo zgromadzić w sobie wszystkie dobre zalety, nie przeplatając złemi, ale ponieważ ludzka natura nie przypuszcza takiej doskonałości, winien książę być o tyle roztropnym, iżby uniknął wstydu jawnej zbrodni. Nie powinien dbać, iż naraża się na naganę za błędy, bez których z trudnością mógłby się utrzymać przy władzy; niejedna zaleta, uważana za cnotę, mogłaby go doprowadzić do ruiny, gdy natomiast to, co świat uważa za występki, da mu bezpieczeństwo i dobro. Mówiąc o Cezarze Borgji, powiada: «Roztrząsam postępowanie księcia i nie mogę w niem znaleźć nic naganego; przeciwnie, sądzę, iż należy postawić go za wzór wszystkim, którzy fortuną lub bronią wzniesli się do władzy monarszej».

11. Rozprawę o księstwach duchownych zrzecznie wymija: «Ponieważ te księstwa są rządzone środkami wyższymi, których rozum ludzki nie doścignie, i ponieważ są wzniesione i utrzymywane przez samego Boga, mówić o nich ośmieli się tylko człowiek zuchwały».

<sup>1</sup> Obu anegdot brak w «Dworzaninie» naszego Górnickiego; zato ostatnia znajduje się w «Pantagruelu» Rabelais'go (ks. IV, v. 55), a także w anegdocie o łowach ks. Radziwiłła Panie Kochanku.



## Rozdział 18

«W jakiej mierze winni książęta dochowywać wiary». Jak chwalebne jest w księciu dochowywanie wiary i postępowanie otwarte, nie chytre, wiadomo każdemu. A przecież widzi się w naszych czasach książąt, którzy umieli chytrą opłamać umysły i w końcu osiągnęli pewniejsze skutki, niż ci, co się na uczciwości oparli. Macie bowiem wiedzieć, że istnieją dwa sposoby wojowania: prawem i siłą. Pierwszy właściwy człowiekowi, drugi zwierzęciu; ponieważ pierwszy często nie wystarcza, potrzeba poprzeć go drugim. Winien przeto książę dać w sobie panować człowiekowi i zwierzęciu; tego to uczą go starzy pisarze alegorycznie, podając, że Achilles i inni książęta starożytni oddani byli Chironowi na wychowanie i naukę. To, że mieli nauczycielem półczłowieka, półzwierzę, znaczyć ma, że należy księciu raz według jednej, raz działać według drugiej natury, i że jedno bez drugiego jest niemocne. Zniewolony zatem dać w sobie miejsce zwierzęciu, winien wybrać razem lisa i lwa, bo lew nie obroni się potrzaskom, lis nie obroni się wilkom; trzeba być lisem, aby znać potrzaski, lwem, aby odstraszyć wilki. Nie pojmują tego ci, którzy są poprostu lwami. Nie może zatem, ani nie powinien roztropny pan dochowywać wiary, jeżeli takie dochowywanie obraca mu się na szkodę, i jeżeli znikły przyczyny, które przyrzeczenie wywołały. Gdyby wszyscy ludzie byli dobrzy, prawo takie byłoby nieuczciwe, ale ponieważ są zli i sami bez wiary, tobie równie słownym być się nie godzi. Nie braknie też nigdy księciu prawowitych przyczyn usprawiedliwienia złamanych ślubów. Możliwe z najświetszych czasów dać przykład niejednego, jak spełzył na niczem obietnicę przez nierzetelność książąt i jak w tych okazjach wyszedł z zyskiem ten, co umiał być lisem. Trzeba jednak naturę tę w sobie ubarwić i znać sztukę udawania; tak zaś są naiwni ludzie i tak powodować sobą pozwolą, iż ten, co oszukuje, znajdzie zawsze takiego, co się da oszukać. Nie chcę z przykładów świeżych zamileć jednego. Aleksander VI co uczynił i o czem myślał, jeśli nie o ustawicznym ludzeniu świata? Znalazł zaś zawsze przedmiot odpowiedni; a przecież: nie było człowieka, któryby obietnicami donioślejsze osiągnął skutki, a któryby pieczętując ślubami sprawę jakąś, mniej niż on o nią się troszczył; udawały mu się też zawsze oszustwa «ad votum», znał bowiem dobrze świat. Nie jest konieczna księciu posiadać dobre przymioty: wystarczy pozornie je posiadać. Dodać nawet pośpieszę, iż, posiadając je istotnie i obserwując, wynosi z nich szkodę; posiadając pozornie, wynosi zysk. Tak naprzykład wydawać się litościwym, wiernym, ludzkim, pobożnym, nieskazitelnym — a być nim; powinien wypracować w sobie to, iżby, zapotrzebowawszy nie być tem wszystkim, umiał stać się czemś przeciwnym. Znaczy to, że książę, a zwłaszcza książę nowy, nie może pielęgnować w sobie wszystkich tych przymiotów, dla których ludzie nazywani bywają dobrymi, zmuszony często dla utrzymania się działać przeciw wierze, litości, ludzkości, religji. I owszem — potrzeba, aby miał umysł zdolny obracać się według wiatru i wymagań fortuny i — jak rzekłem wyżej — nie rozstawał się z dobrem, gdy można, ale umiał wejść w złe, gdy potrzeba...

Rozdziały 12—14 i 19—26 oblewają poważną postać Machjawela tem światłem, w jakim go rada zawsze widzieć sympatja i w jakim uwielbiają go dzisiaj Włosi, stawiając mu pomniki między wskrzesicielami Italji. Potępia system zaciągania band najemnych i kreśli plan uformowania wojska narodowego; powracając do «Księcia», napomina, by unikał powodów nienawiści i pogardy; wreszcie potężnym głosem patrioty wzywa do wypędzenia panoszących się w Italji «barbarzyńców».

## BELFAGOR, NOWELA O DJABLE ŻONATYM

Czytamy w starych pamiętnikach dziejów Florencji, wedle podania pewnego świętego męża, którego żywot wśród wszystkich ówczesnych ludzi był głośny, że pewnego razu, zatopiony wszystkim w swoich modlitwach, widział, jak ogromne tłumy dusz tych nieszczęśników, co umierali w niełasce Bożej, wędrowały do piekieł, i jak wszystkie, albo prawie wszystkie, skarżyły się, że nie z innego powodu, tylko stąd, że się pożeniły, przyszło im na ten żalostny koniec. Minos i Radamantes wraz z innymi sędziami piekielnymi dziwili się temu wielce, a nie mogąc uwierzyć owym kalumnjom, jakie

tamci podawali za szczerą prawdę, i widząc, że z tej przyczyny w piekle samem rośły spory, złożywszy Plutonowi raport odpowiedni, postanowili dać rzecz do sprawdzenia ministrom, a następnie przedsięwziąć kroki ku zbadaniu owych zbroczeń i ku poznaniu prawdy...

Djabli postanawiają wysłać na ziemię «komisarza»; losem zostaje wyznaczony Belfagor, arcydjabł, «ci-devant» archanioł.

Asygnują mu 100 tysięcy dukatów, z którymi ma wyjść na ziemię pod postacią ludzką, pojmie żonę, będzie z nią żył 10 lat, poczem, udawszy śmierć, powróci i z doświadczeń swych zda relację przełożonym o rzeczywistych uciążliwościach stanu małżeńskiego. Uprzedzono go przytem, że w ciągu całego czasu będzie podlegał wszystkim niewygodom i dolegliwościom człowieczym, jako to: więzienie, choroba i inne utrapienia, — chyba, że własną przebiegłością z nich się otrzęsie. Przyjął Belfagor warunki razem z monetą; wstąpił na ziemię, a złożywszy swój poczet z koni i służby, wjechał z okazałością do Florencji; które to miasto przed innemi wybrał na siedzibę, obliczywszy, że tam najłatwiej swoje pieniądze puści w obrót. A przybrawszy nazwisko Roderyka z Kastylji, wynajął dom w dzielnicy Ognisanti; żeby się zaś nie domyślano, kim jest w istocie, dodał, że wyjechał niedawno z Hiszpanji do Syrii, że w Aleppo się zbożcił i przybył do Italji, ażeby tu szukać żony w mieście najbardziej kulturalnem, odpowiadającym najlepiej jego wymaganiom...

Uroda, bogactwo, młodość, hojność zwabiły ku niemu tłumy panien na wydaniu; wybrał najpiękniejszą, imieniem Onesta, córkę Ameriga Donatiego...

Ta po ślubie stała się nieznośna; pyszniejsza od Lucyfera, opryskliwa, a co najgorsze, rozrzutna. W krótkim czasie zrujnowała go. Przed wierzycielami musiał potajemnie uciekać w nocy, naprzód konno, potem pieszo. Tak dobiegł do chaty Gianmattea, który właśnie krzątał się koło wołów, i prosił, aby go ukrył przed prześladowcami.

Gianmatteo, choć chłop, był człowiekiem czułym, a uważając, że nic nie straci, jeżeli zbiega ukryje, schował go pod kupą zielska przed chałupą i nakrył sitem i drwami zebranymi na opał. Ledwie Roderyk miał czas tam się wsunąć, gdy nadbiegł pościg; mimo jednak, że ścigający nacierali na chłopca, wydobyli zeń tylko tyle, że widział zbiega... Kiedy umilkła wrzawa, a Roderyk wyszedł z ukrycia, Gianmatteo żądał, aby spełnił, co przyrzekł, na co Roderyk: «Miły bracie, jestem ci obowiązany wielce i chcę ci wynagrodzić; abys zaś wiedział, że zdołam to uczynić, wyznam ci, kim jestem...»

I wykrył mu sposób, jakim chce go wzbogacić; a był nim ten, że kiedy usłyszy, iż jakaś niewiasta jest opętana, niechaj wie pewnie, że to on w niej siedzi i że z niej nie wyjdzie, póki go jego dobrodziej nie wywoła, za co będzie mógł sule brać wynagrodzenie. Po zawarciu takiej umowy odszedł. Nie minęło wiele, kiedy rozeszła się wieść po Florencji, że jedna z córek pana Ambrożego Amidei, zaręczona z Bonaiutą Tebalduccim, była opętana od djabła; rodzina nie zaniedbała żadnego ze środków, jakie się praktykuje w podobnych wypadkach: przykładano jej na głowę czaszkę świętego Zenobja i płaszcz św. Jana Gwalberta, ale Roderyk wszystkie je zbaraszkował (ucellate). Żeby zaś dać do zrozumienia, że choroba młodej osoby pochodziła od złego ducha, nie zaś z wyobraźni, przemawiał po łacinie, dysputował filozoficznie i odkrywał cudze grzechy; między innemi wyjawił sprawę pewnego braciszka, który przy sobie utrzymywał niewiastę w habicie i mieszkał z nią przez 4 lata w jednej celi. To wszystko budziło nadzwyczajny podziw. Tymczasem messer Ambruogio, wielce zatroskany, spróbował wszystkie środki, stracił nadzieję, — gdy wtem przybył doń Gianmatteo i obiecał przywrócić zdrowie dziewczęcia, jeżeli otrzyma 500 dukatów, za które pragnął nabyć folwark w Peretoli.

Messer Ambruogio zgodził się, zaczętem Gianmatteo, odprawivszy naprzód liczne obrzędy dla upiększenia sprawy, zbliżył się do ucha panny i rzekł: «Roderyku, przybyłem, żebyś mi dotrzymał przyrzeczenia». Na co Roderyk odparł: «Jestem gotów, ale to nie wystarczy, aby cię wzbogacić, dlatego, odszedłszy stąd, wejść w córkę Karola, króla Neapolu, i nie wyjść z niej, aż mi każesz. Ale potem urządzę (faream mancia) cię tak, że dasz mi już pokój (hoiga)». — Rzekłszy, wyszedł z niej, ku radości i zdumieniu całej Florencji.

Gianmatteo zbogacony, gdyż otrzymał w nagrodę 50 tysięcy dukatów, osiadł w stolicy i chciał wycofać się z interesów, tymczasem jednak nastęrczyła się nowa, silna pokusa w osobie córki króla francuskiego, Ludwika VII.

Zrazu ociagał się, bo strach mu było Roderyka, został jednak ściągnięty przymusem przez samą francuską Signorję... Wymawiał się, że ani umie, ani może leczyć wszystkich, gdyż istnieją osoby opętane tak przewrotnie, że nie baly się ani grózb, ani zaklęć, ani żadnej religji, z tem wszystkiem próbuje, a jeżeli mu się nie uda, to prosi o wytłumaczenie i przebaczenie. Na co król rozgniewany odpowiedział, że jeśli mu córeczki nie wyleczy, to każe go powiesić...

Gianmatteo napróżno błaga Roderyka, aby go ratował; Roderyk czuje się zbyt dobrze, aby chciał porzucić swą pannę. Zaczem zwraca się do króla: «Sire» — rzece — «jak mówiłem, istnieją duchy tak złośliwe, że niema z nimi wyjścia, jak z tym oto. Chcę jednak uczynić ostatnią próbę; jeżeli się uda, osiągniemy nasz cel, jeżeli nie, to jestem, Najjaśniejszy Panie, w twej mocy; będziesz miał nade mną zmiłowanie, godne mej niewinności...»

Próba polegała na tem, że kazał na placu Notre-Dame poczynić przygotowania do wielkiej pompy, w obecności najwyższych dostojników, zboku zaś ustawił huczną orkiestrę z trąbami, rogami, tamburami, kobzami, cymbalami, — poczem miałyby być wprowadzona opętana i na dany znak uczyniona przeraźliwa wrzawa.

Kiedy Roderyk obaczył taki tłum i taki wspaniały aparat, osłupiał i rzekł do siebie: «Co to zamierza uczynić ten tchórzliwy chłop? Czy chce mię zastraszyć swoją pompą? Czy nie wie, że ja znam zarówno wspaniałości nieba, jak furje piekielne? Ja mu tu dam cięgi». — A kiedy Gianmatteo zbliżył się i prosił jeszcze raz, aby wyszedł, odburknął: «Czego ci się zachciewa? POCO te wspaniałości? Myślisz, że ujdiesz mej potędze i gniewowi królewskiemu? Głupi chamie, na każdy sposób będziesz wisiał».

A kiedy tak na każdą prośbę odpowiadał obelgą, Gianmatteo pojął, że nie należy tracić czasu i dał znak kapeluszem, podniósł się tedy odrazu wielki okrzyk zgromadzonych i zabrzmiała muzyka instrumentów. Roderyk podniósł uszy i oglupiały spytał Gianmattea, coby to wszystko miało znaczyć? — Na co ten jakby zmieszany rzekł: «Biada, biada Roderyku, to twoja małżonka przybywa, żeby cię odszukać». Trudno wypowiedzieć, jak się zaniepokoił Roderyk na wspomnienie żony. Przestrach jego był tak wielki, że bez zastanowienia przerażony czmychnął, poczem wrócił do piekieł opowiedzieć wszystko złe, jakie w dom wprowadza niewiasta, zaś Gianmatteo, który o tem wiedział lepiej od djabła, wrócił do siebie.

(*Niccolo Machiavelli, Il Principe, ed. Lisio Firenze 1899; Novella di Belfagor w Operette satiriche, ed. Benedetto, Torino 1920.*)

## ANGELO AMBROGINI POLIZIANO

(1454—1494)

### TURNIEJ

Strofa 100—120

Prawdziwe — rzekłbyś — i piana, i morze,  
Prawdziwa muszla i zefir, co wieje.  
Piorunem błysną czasem oczy hoże,  
Żywioly cieszą się, niebo się śmieje.  
Godziny w bieli depcą piasków łoża,  
Włos ich od wiatru wian kędzierzawieje,  
Podobne mają postawę i lica,  
Widno, że córy jednego rodzica.

Możnaby przysiąc, że z wód się wyrывa  
Boska; prawicą wyżymając włosy,  
Lewą jabłuszka dziewicze zakrywa;  
Pod uciśnieniem lekkim nogi bosej

Z piasku powstaje niby łąka żywa.  
Potem pływaczkę wilgotną od rosy  
Nimfy ogarną smukłemi ramiony  
I zatulają w gwieździste ostony.

Ta nad kędziorów falą zwilgoconą  
Trzyma girlandę z kwieciami rozmaitem;  
Złoto i wschodnie diamenty w niej płoną;  
Ta uszy w perły z tęczowym prześwitem  
Zdobi, a tamta barki jej i lono  
Łańcuchem wokół wiąże zlotolitym.  
W takie się właśnie przybierały stroje,  
Kiedy toczyły w niebie płasy swoje.

Dalej widziałeś, jak się z nią ku górze  
Wraz unosiły owe tanecznicze,  
Powietrze drżało, choć kule w marmurze,  
Niebiosa szczęsne patrzyły w jej lice.  
I była radość w całym bogów chórze,  
Każdy z nich pragnął wieść ją do łożnice,  
Jak na cud jaki poglądali społem,  
Z brwią podniesioną, sfałdowanem czołem.

Zkolei Jowisz, dłótem wyciosany  
W kształt dorodnego, śnieżystego byka,  
Niesie na grzbiecie skarb umiłowany.  
Ona zalekła pogląda, jak znika  
Wybrzeże; złoty włos wiatrem rozwiany  
To się unosi, to jej piersi tyka,  
Szata faluje, coraz się wydyma,  
Dłoń jej na karku, drugą za róg trzyma.

Kurczy kolana i podgina stopy,  
Aby nie tykał ich bryzg chłodnej fali,  
Które ją straszą, wciąż biegnąc w jej tropy.  
Próżno się swoim towarzyszkom żali;  
Na łące stoją, płaczą Europy  
I tylko głos ich dolata w oddali:  
Powróć, Europo, jęczą wierne drużki;  
Byk płynie, raz wraz liżąc drobne nóżki.

Jowisz w labędzia zmienion lub deszcz złoty,  
Lub w postać węża, albo skotopasa,  
Ułatwia sobie przelotne zaloty;  
A gdy go znęci Ganimeda krasa,  
Jak każe miłość, to górnemi loty  
Niesie go tam, gdzie piękno nie wygasa.  
Chłopię cyprysem ma wieńczoną głowę,  
Nagi, w gałązki uwite mirtowe.

Neptun się zmienia w wełnistego tryka,  
Albo uganiana, niby buhaj młody;  
Ojciec Chirona, jak źrebiec pomyka.  
Febus w tesalskich górach pasie trzody  
I tam w szalasię lichym się zamyka.  
On, co jest ojcem światła i pogody,  
Nie zna lekarstwa na miłosną ranę,  
Chociaż mu wszystkich ziół własności znane.

Bieży za Dafną, co się z lęku slania;  
«Nie bój się, miła, wszak cię nie zabije!»  
Zostań, użal się mojego kochania.  
Kiedy wróg ściga, nie dziw, że się kryje  
Owca przed wilkiem, albo przed lwem lania.  
Winna-ż to miłość straszyc serce czyje?  
Więc nie uciekaj, pani mojej dusze,  
Nie czynięć krzywdy, gdy cię kochać muszę».

Piękna Arjadna, w członków nieowładzie  
Niecnej ucieczki Tezeja się żali;  
Szum wiatru i sen stały jej na zdradzie;  
Strachem dygoce, jak trzcina na fali.

Chyla się wszystka i na brzegu kładzie,  
Tylko jej skarga dochodzi z oddali:  
«Niewierny!» z warg jej wylatują słowa:  
«Okrutniejszego zwierza świat nie chowa».

W bluszcz i winograd strojny, na rydwanie  
Bachus; w zaprzęgu dwie stwory tygrysie;  
Wkoło rydwana lupoty, igranie:  
To z bachantkami satyry-trefnisie.  
Ten się zatacza w opętańczym tanie,  
Ten na cymbalach bębni, a ten gzi się  
Z nimfą; ten trąbi w róg, a tamten dłonie  
Złożywszy, na nich gra, jak na puzonie.

Na swym osiołku, tłusty i obrzękły,  
Pojeżdża Sylen, wieczny pijanica,  
Zaspany, jakby głupotą rozmiękły.  
Białka krwią zaszły, przygasła źrenica,  
Ledwie go dźwiga osiołek zalekły.  
Tyrsem laskoce nimfa-swawolnica.  
Gdy mu tak tyrsem przed oczyma śmiga,  
Czepia się karku, a satyr go dźwiga.

Ujrzał, pokochał i gwałtem porywa  
Swą Prozerpinę piekiel bóg w zaświaty;  
Na wielkim wozie jedzie, włos jej splywa,  
Czasem go Zefir poddyma skrzydlaty.  
Zebrała suknię, dłonią pierś zakrywa,  
Z faldów jej sypią się zerwane kwiaty.  
Mateczki swojej woła i na błoni  
Stojących drużek i rzewne lzy roni.

Zrzuca srogiego lwa obdartą skórę  
I obleka się w niewieście ubiory,  
Ten, który sobą przerieżał naturę.  
Teraz podwice usługiwać skory,  
Cierpi, że Amor tak wziął nad nim górę,  
Nad nim, co niebu użyczał podpory,  
On, co maczugą zbierał żniwo śmierci,  
U nóg jej siedzi i wrzeczono wierci.

Polifem barki okudlił jak zwierzę,  
Pierś zakrywają okropne kędziory;  
Na skroniach liście i żółędzie świeże;  
Owce się pasą u skalnej komory.  
Jęczy i wyje, gdy żalność w nim wzbierze,  
Gdy go rozpalą na wnętrzu amory.  
Zmiął wszystkie, tak go rozebrały żale,  
I legł pod bukiem, na nieczulej skale.

Czernieje lukiem od ucha do ucha  
Brew, na szerokość jakich sześciu dłoni.  
Szerokiem nozdrzem zapach morski niucha,  
Bieleją zęby, kiedy je odsloni,  
A pod rzemieniem dzikiego pastucha  
Widna plecionka stufletnej zamponji;  
Patrzy na morze, co falami płąsa,  
Śpiewa pieśń górską i kudły wytrząsa.

Rzekłbyś, że mówi: «Bielsza jest od mléka,  
A jak jałowka harda na polanie.  
Wianek ci plotę; spójrz na miłośnika,  
Dla ciebie chowam ułowioną lanie,  
Niedźwiadka, co już z psami się boryka.  
Przerażliwie mię zgębilo kochanie  
I radbym wielce zrobić się pływakiem,  
Żeby się znaleźć na wybrzeżu jakim.

Akantem była obwiedziona płyta,  
Wplecionym w mirtu gałązki i róże.  
Ucho, zdało się, śpiew ptaszęcy chwyta  
I rozpoznaje nutę w pieśni chórze.  
Nigdy się Wulkan nie czuł tak dosyta  
Mistrzem; prawda wstyd czyniła naturze.  
Gdy czego wzrok tam nie wypatrzył raźniej,  
Dopomogła mu władza wyobraźni.

Delfiny ciągną wóz; wóz się kołysze,  
A Galateja cugłami je wodzi,  
A para zwierząt plynie, równo dysze,  
Dokoła pluszczą delfinkowie młodzi.  
Tańczą, miotają się wodni urwisze,  
Ten ściga samkę, od zmysłów odchodzi,  
Zaś piękna nimfa, ze swych druchen gronem,  
Naśmiewają się pieśniom nieuczonym.

To było miejsce tak miłe Wenerze:  
Tu się urodził owy lucznik zdradny,  
Co zmienia w czleku wolę i sąd bierze,  
Co niebiosami, ziemią, wodą władny,  
Oczom i sercom zastawia więcierze.  
Słodki na licu, lecz zły, przyczajony,  
Młodzieńczyk nagi, ptak ukoleczaniony...

(Angelo Ambrogini Poliziano, *Le stanze, l'Orfeo e le rime*, Torino 1925.)

## FRA GIROLAMO SAVONAROLA

(1452—1498)

PRZEPOWIEDNIA XXVI «SOPRA AMOS», d. 13 MARCA 1495/6

...Przywiodeę na Italję najgorszy, najniegodziwszy lud. I poniżę pychę książąt, i ukrócę dumę Rzymu. Ten lud, co go przywiodeę (mówi Bóg), będzie posiadał świątynie swoje, które zbezczęści sam, bo skoro w nich urządzano stajnie kobiet nierządnych, ja z nich uczynię stajnie wieprzów i koni, bo te mniej mi będą wstrętne. Kiedy nastanie głód, kiedy nadejdą zamieszki, nie dostąpią pokoju z Bogiem, będą chcieli nawrócić się, a nie zdołają, gdyż będą wszyscy odurzeni i obłąkani. Nie dostąpią pokoju z nieprzyjaciółmi, bo ci będą czuli przewagę i powiedzą: «Nie chcemy pokoju, jesteśmy biczem Bożym; wojny ponad głodem, zarazy ponad wojną, jednej części Italji ponad drugą». Będzie krzyk ponad krzykiem, to jest krzyk jednego barbarzyńcy ponad krzykiem drugiego; krzyk od wschodu i zachodu i zewszec stron. Będą wtedy oglądać się za widzeniami proroków, z których się dziś naśmiewają, ale w on czas nie będą ich mieli, zamknięte będą wargi ich, a Bóg zawoła: «Przestańcie prorokować, teraz zacznę działać ja...»

*W niedzielę palmową 1495/6 Savonarola żegnał się z ludem florenckim i zamykał kazanie «Sopra Amos»*

## PRZEPOWIEDNIĄ XLVIII-MA

...Italjo, przystąp bliżej. Zalisz się czynów moich. Co-ć uczynilem, Italjo? I w czym ci byłem przykry? Bóg wszechmogący przez lat wiele nawoływał cię do pokuty i posyłał ci kaznodziejów, a ty nie chciałaś słuchać, ani zawrócić z krzywej drogi. Od stu lat nawoływano cię, byś się gotowała do tego bicia i do tego sądu: św. Wincenty, św. Bernardyn i inni, — a ty nie zaniechałaś nieprawości. Same grzechy twoje winny były ostrzec cię, że kara nadchodzi, że się zaczęła, że się już gotuje, a ty jeszcze nie chcesz wierzyć, mimo że od tak dawna ci ją przepowiadano... Gotowa jesteś raczej wierzyć djabłu, niż światłu Chrystusa. A jest takich wielu, co wierzą djabłu i słuchają poszeptów djabelskich, i wierzą astrologom. Ty, Rzymie, wierzysz skwapliwie tym, którzy źle mówią o mnie, a jakże ty łatwo wierzysz w złe! Dlaczego równie łatwo nie wierzysz w dobroć moją? Czemu nie myślisz o własnem zbawieniu? Zamykasz uszy, ale o mnie myślisz źle, bo nie wolno w Rzymie mówić dobrze o tym braciszku i brać

go w obronę... Dlatego, Rzymie, gotuj się na razy bicia. O Rzymie, otoczą cię obręczą z żelaza, spustoszą cię ogniem i mieczem. Kiedy nadejdzie pokaranie, Rzymie, zdrżysz wszystek...

PRZEPOWIEDNIA IX NA TEMAT MICHASZA (KS. SĘDZIÓW 17—18) I RUTH,  
Z DN. 28 MAJA 1495

*Po gwałtownych i namiętnych wypominaniach zepsucia kleru, Savonarola karci zepsucie powszechne...*

Oznajmiam ci, że Bóg wyciągnie miecz z pochwy, ześle lud obcy, przekroczy granice swej łaskawości i litości; wyleje się tyle krwi; tyle trupów; tyle okrucieństw, że zawołacie: «Panie, wystąpiłeś z miejsca swego».

Pan zatem przybędzie i podepce obliczność ziemi, mocarzy ziemi. Pan zdepce cię, Italjo i Rzymie... Stopami Jego będą konie i wojska obce. I podepce możnych Italji: księży, biskupów, kardynałów i najwyższych mistrzów...

*(Fra Gir. Savonarola, Scelta di prediche, ed. Villari—Casanova, Firenze Sansoni 1898.)*

MICHELANGELO BUONAROTTI

(1475—1564)

SONET

Sonet w duchu nowoplatońskim, wzorem Dantego.

Życiem miłości mej — nie serce moje,  
Bowiem tęsknota moja bezserdeczna  
Tam dąży, gdzie jest obłędu bezpieczna,  
Gdzie przed płocnością zamknięte podwoje.

Miłość — duch boży w swojej praistocie,  
Tobie blask, a mnie moc dała pojętną;  
Co w tobie jeszcze ziemskie nosi piętno,  
To wiatyk mojej niebiańskiej tęsknocie.

Jak żar i światło zjawiają się razem,  
Podobnie wieczne piękno i kochanie;  
Toż ja, gdy ziemską z siebie myśl otrzęsę,

Aby się nieba nacieszyć obrazem —  
Gdzie było naszych dusz pierwsze poznanie  
— Oczyma memi śpieszę pod twą rzęsę.

SONET

Sonet w stylu Petrarcki.

Śniegowej twarzy biją na mnie żary;  
Mnie ona pali — sama w lód się zmienia;  
Czuję dwu wiotkich ramion uściśnienia,  
Zdolnych bez ruchu podźwigać ciężary.

Znam zmysłom ludzkim niedościgłą duszę:  
Innym śmierć niesie, śmiercią nieujęta.  
Sama swobodna, a mnie bierze w pęta,  
Choć w sobie dobra, mnie sprawia katusze.

— O Panie, jakaż potęga niezłomna  
Czyni twarz piękną wrogiem mojej twarzy  
I wiesz skutki z przyczyną niezgodne?

Dla mej radości, co mi jest zabrana,  
Jest ona niby słońcem, które darzy  
Ziemię promieniami, samo wiecznie chłodne.

(*Le Rime de M. A. Buonarroti, ed Guasti, Firenze 1863.*)

## LUIGI PULCI

(1432—1484)

### OLBRZYM MORGANT (IL MORGANTE MAGGIORE)

Roland (Orland) obrażony na Karłomana (Karola Wielkiego), że dał posłuch oszczerstwom zdrajcy Ganona, porzuca dwór i wyrusza na przygodę.

Odjeżdża Roland, rozgniewany srodze,  
W pogańskie kraje prosto kroki niesie.  
Zafrasowany duma i po drodze  
Zdrajcę Ganona wspomina w tym czasie.  
Błądzi, koniowi opuściwszy wodze,  
Nagle klasztoru dojrzy w gęstym lesie.  
W ponurej puszczy stał w poszytej dzicy,  
Gdzie chrześcijaństwo z pogaństwem graniczy.

Chiaramont brzmiało nazwisko przeora,  
Między wnukami był Agrantowymi.  
Ponad klaszlorem wznosiła się góra,  
Gdzie trzech niehumanicznych mieszkali olbrzymi.  
Passamont jedna zwała się potwora,  
Druga Alabastr, Morgant trzeci z nimi.  
Ci, duże głazy wyrzucając z procy,  
Szkodzili klasztor i we dnie, i w nocy.

Nie śmieli wyniść mnisi niebożęta  
Do lasu po drwa, ani do cysterny.  
Roland do bramy kołace — zamknięta.  
Opat sam otwarł, bo bał się odźwierny.  
Wszedłszy, pozdrowia Boga, co go święła  
Rodzi Maryja; że jest prawowierny  
Człowiek — przysięga — i chrztem świętym chrzczony,  
Zaczem tłumaczy, jak zaszedł w te strony.

Powiada przeor: «Gościu, witaj zdrowy,  
Z całego serca dajem ci gościń,  
Skoroś chowany w wierze Chrystusowej.  
Żeśmy cię u wrót trzymali, za winę  
Nam nie poczytuj, ani bądź surowy,  
Bowiem sam uznasz, gdyć powiem przyczynę,  
Iż miał brat furtjan czego bać się gości:  
My tu strzec musimy ciągle swoich gości.

Gdyśmy osiedli pośród tych bezdroży,  
To choć są, jako widzisz, bezsłoneczne,  
Jeszcze mieszkało się — powiem — niezgorzej,  
Bo nieruszane były i bezpieczne;  
Bywało, jedno dziki zwierz nas trwoży  
I często w strachy wprawia niestateczne,  
Lecz dzisiaj całą chcąc li unieść głowę,  
Musim odpierać zwierzęta domowe.

Pod grozą żywot wiem nieszczęśliwy:  
 Zjawili się tu trzej srodzy olbrzymi,  
 Nie wiem, z pod jakich stońc i z jakiej niwy,  
 Ale z siłami naschwał ogromnemi;  
 Ci przemoc mają i dowcip złośliwy;  
 Trudno się bronić, nie zrównamy z nimi;  
 Przerywają nam codzienne pacierze,  
 Nie wiem, co czynić, gdy Bóg nie ustrzeże.

Święci ojcowie, co na puszczech siedli,  
 Kiedy ich życie było cne i prawe,  
 To z łaski Bożej byt rozkoszny wiedli  
 I nie z szarańczy samej mieli strawę;  
 Lecz wiedz, zsyłaną z nieba mannę jedli.  
 A my tu widzimy obiady plugawe:  
 Co dnia kamienie, rzucane gdzieś z kąta  
 Od Alabastra i od Passamonta.

Lecz nadewszystko Morganta się strzeżem.

Ten buki, sosny wyrzywa i strzela;  
 Często padają aż tu pod alkierzem.  
 Nie zbrzydnieź, człeku, i klasztor i cela?  
 Gdy na cmentarzu tak stoi z rycerzem,  
 Leci głaz: mało nie zdusił Rondela,<sup>1</sup>  
 Ręką olbrzyma posłany po dachu.  
 Koń przerażony rzucił się ze strachu.

— «Bóg, kawalerze, niech cię ma w swej pieczy!» —

Zawoła opat: — «Patrz, już manna pada». —

— «Przykre, mój ojcze, dzieją się tu rzeczy;  
 Temu coś nie w smak, że mój Rondel śniada,  
 Może to konia z narowu wyleczy...  
 Ba, ba! lecz siłacz musi być nielada». —  
 Odpowie przeor: — «Kiedyś pewnie, tuszę,  
 Górę tu zwałą te pogańskie dusze».

Roland z błogosławieństwem przeora udaje się na poskromienie olbrzymów; — zabija Passamonta i Alabastra, następnie szuka Morganta.

Morgant miał pałac pewien pośród lasu:  
 Z chróstu i gliny była chata dzika;  
 Tam po zwyczaju swym zażywa wczasu,  
 I tam spać idąc, na noc się zamyka.  
 Roland się do drzwi tłucze; od hałasu  
 Ze snu ciężkiego olbrzym się ocyka,  
 Idzie otworzyć, jak człowiek półżywy;  
 Tej nocy sen śnił dziwny i straszliwy.

Miał to widzenie, że wąż jadowity  
 Skoczył nań, a on do Mahomy biada,  
 Ale Mahoma był mu nieużyty;  
 Zatem do Chrysta korne ręce składa.  
 Jego to świętą opieką okryty,  
 Wychodzi cało; więc wstał i powiada  
 Belkotem: «Kto tam do drzwi tak łomota?»  
 «Dowiesz się» — rzecze Roland — «otwórz wrota!»

Ten ja ci koniec, co twej braci, zrobię;  
 Uderz się w piersi i żałuj za złości;  
 Mnisi mię tutaj posyłają k'tobie,  
 Tak się podoba Bożej Opatrzności:

<sup>1</sup> Koń Rolanda.



Że im wyrządzasz krzywdy w każdej dobie,  
 Taki wydano wyrok na twe kości.  
 Tamtym już żaden nie pomoże plaster:  
 Martwy Passamont, martwy Alabaster».

Powiada Morgant: — «Zacny kawalerze,  
 Przez twego Boga, nie krzywdź mię tą mową,  
 Lecz imię swoje, proszę, wyznaj szczerze,  
 Czyś chrześcijanin, powiedz jedno słowo».  
 — «Wszystko» — rzekł Roland — «wyznam ci w tej mierze  
 I nie zataję. Tak jest, Chrystusową  
 Wyznamę wiarę; On jest Bóg prawdziwy,  
 I ty weń uwierz, jeśli chcesz być żywy». —

Rzecz Saracen pokorny i zgięty:  
 — «Dziwne ja miałem widzenie tej nocy:  
 Oto od srogiej zmii opadnięty  
 Próżno wzywałem mego boga mocy,  
 Aż mi twój Chrystus, na krzyżu rozpięty,  
 Pomógł, kiedy go błagał w mej niemocy,  
 I wydobyl mię bezpiecznym i zdrowym,  
 Przeto natychmiast ochrzcić się gotowym».

Odpowie Roland: — «Pobożny baronie,  
 Jeżeli dłużej zechcesz wytrwać przy tem,  
 Dusza twa spocznie u Boga na łonie,  
 Który ją wiecznym obdarzy zaszczytem.  
 Skoro już w naszym chcesz zostać zakonie,  
 Przyjacielem ci będę prawowitym.  
 Bożkowie wasi są kłamliwe mary,  
 Jeden jest isty Bóg, Bóg naszej wiary».

Roland prowadzi Morganta do klasztoru; mnisi, zrazu przerażeni, przyjmują go mile, dowiedziawszy się o nawróceniu. Morgant, ochrzczony, zostaje klasztornym pacholkiem.

Wielki brak wody czuli zakonnicy,  
 Dobry brat Roland zaraz o tem radzi:  
 — «Morgancie» — mówi — «bieżaj do krynicy!»  
 — «Dobrze» — ten rzecz — «każ, jak twej czeladzi,  
 Wiedz, że nie każesz nigdy po próżnicy».  
 Zaraz wybiera co największej kadzi  
 I co najprędzej bieży do potoku,  
 Który miał źródło swoje u gór stoku.  
 Ledwie u źródła stanął, z gęstwy mraku  
 Trzepot się srogi i łomot podniesie;  
 Morgant wnet strzały dobywa z sajdaku,  
 Na łuk naloży i patrzy po lesie.  
 Stado się dzików zjawilo na szlaku,  
 Które pędziły w okropnym obcesie,  
 I dobiegali zwierzowie paskudni,  
 Właśnie gdy Morgant przystanął u studni.  
 Wystrzelił Morgant, ledwie dojrzał sierci,  
 Ugodził dzika prawie podle ucha;  
 Przepadł grot ostry, nawylot go wierci,  
 Upadł zwierz martwy, z rany płynie jucha.  
 Drugi, bracinej chcący pomścić śmierci,  
 Wprost na olbrzyma godzi, parą bucha  
 I tak nań bije, prędko i zuchwały,  
 Że nie mógł Morgant użyć drugiej strzały.  
 Widząc ten obces dzika jegomości,  
 Straszna go pięścią uderzył po głowie,

Tak, że mu w czasce pogruchotał kości,  
 I tak trup drugi położył w dąbrowie.  
 Reszta gromady w strachu i żalości  
 Umknie czem prędzej i zniknie w parowie.  
 Morgant wnet wody nabiera do kadzi  
 I ciężkie brzemię na kark sobie ładzi.  
 Obladowany wodą i mięsiwem,  
 Ogromny Morgant stąpa po dolinie.  
 Daleką drogę mierząc krokiem żywym,  
 A z kadzi jedna kropla mu nie spłynię.  
 Ujrawszy Roland z ogromnym podziwem  
 Zabite dziki i pełne naczynie,  
 Wita go mile, radość taką samą  
 Ukażą mnisi, otwierając bramę.  
 Cieszą się mnisi na napoje świeże,  
 Więcej się śmieją owej dzików parze,  
 Jako się jadła każde śmieje zwierzę.  
 Zaczem po kątach rzucają brewjarze;  
 Każdy się krząta i za złe nie bierze,  
 Że przeor udźców zasolić nie każe.  
 Ten, co miał pościć, zgadza się na mięso,  
 Kto suszył, ten się ratuje dyspensą.

Roland wyrusza na dalsze przygody; Morgant z przywiązania towarzyszy mu pieszo, uzbrojony w serce ogromnego dzwonu, którem się odtąd posługuje, jak maczugą, we wszystkich rozprawach. Przybywają do Hiszpanji i pomagają królowi saraceńskiemu Manfredoniowi do odniesienia zwycięstwa nad wrogiem. Tu odnajdują ich paladynowie: Rynald, Dodo i Oliwjer, i namawiają Rolanda do powrotu. Wprzód jednak wszyscy pomagają królowi Manfredoniowi w walce z królem syryjskim. Przed odjazdem Oliwjer poznaje Meridjanę, córkę Caradora, króla saraceńskiego, pozyskuje jej miłość, namawia do przyjęcia chrztu i, pojąwszy za żonę, zabiera z sobą do Francji. Tu paladynowie pomagają Karlomanowi do odparcia Saracenów z Danji. Caradoro śle do Francji olbrzymia Vegurte z żądaniem zwrotu córki. Butny Vegurto oburza na siebie wszystkich, i krewki Morgant zabija go w pojedynku. Intrygi zradnego Ganona sprawiają, że Roland znowu opuszcza dwór, zapędza się aż do Persji i tu dostaje się do niewoli, potem razem z Rynaldem oblega Babilon. W pomoc im podąża Morgant, w towarzystwie innego olbrzymia, Marguttego, poziomego prostaka, obżartucha i opoja; ale Margutte w drodze umiera ze śmiechu na widok małpy, która przywdziała sobie na nogi jego żółte buty. Morgant, przybywszy pod Babilon, dopomaga dzielnie do zdobycia tego miasta, wywalając w murze ogromną wieżę. Roland zostaje królem babilońskim. Wkrótce potem pośpieszają wszyscy do Francji, żeby z rąk starej czarownicy uwolnić Ganona. W drodze na okręt, którym płyną, napada wieloryb; Morgant skacze na jego grzbiet i swoją maczugą gruchocze mu łeb. Gdy już są niedaleko portu, niecierpliwy Morgant postanawia wbród dostać się czem prędzej do brzegu; w tej przeprawie, ukąszony w nogę od raka morskiego, umiera wkrótce po wydostaniu się na ląd. Resztę poematu (pieśń XXI—XXIII) wypełnia opiewanie przygód Rolanda i innych paladynów Karlomana aż do ich zgonu w wąwozie Roncewalskim.

(*Il Morgante di L. Pulci, ed. Volpi, Firenze 1900—1904.*)

## LUDOVICO ARIOSTO

(1474—1533)

### ORLAND SZALONY

P. XXIII, w. 99—133

Orland w poszukiwaniu ukochanej Angeliki, która uciekła z żołnierzem saraceńskim Me-dorem, przybywa do groty, gdzie się byli schronili, następnie do gospody, gdzie mieszkali. Upewnia się o zdradzie i wpada w szał, od którego cały poemat wziął nazwę.

Zaczem precz oba iechali rycerze:  
 Zerlin tą, ową brał się Orland stroną;  
 Lecz przod, nim poydzie, z gałęzi zabierze  
 Y opasze się szablą niezwalczoną.

Wtem, gdzieby łatwiej poganina tuszył  
Znaleść, tamtędy zawodnika ruszył.

## 100

Koń z poganinem w tak dziwnem sposobie  
Błądzi po boru, gdzie słońce nie świta,  
Że Orland próżno szuka ich dwie dobie,  
Ani ich naydzie, ani się dopyta.  
Nad śklany strumień przybył, gdzie w ozdobie  
Zieleni łąka nadobna wykwita  
Umalowana różą y bławatem,  
Y drzewem wkoło sadzona bogatem.

## 101

Letkie z południa Zephyrowe technienia  
Krzepią dech w bydle y nagiem pasterzu;  
Więc Orlandowi w niesmak się odmienia  
Jechać z paizą, w helmie y pancerzu;  
Życząc otuchy członkom, szuka cienia.  
— Smutna-ć gospoda będzie, moj rycerzu,  
Y więtsze, niżli kto zgadnie, żaloby  
Wywczasu oney niefortunney doby.

## 102

Pożrawszy w koło, dziwnem popisane  
Kształtem tam widzi drzewa na dolinie;  
Wrązi w ty cyfry oczy zapomniane  
Y pozna rękę swey miley boginie.  
Było to miejsce owo, iuż nazwane,  
Dokąd z Medorem w bezpieczney godzinie  
Z chaty pasterza w poblizu ruczaiu  
Schodziła piękna królewna Kataiu.

## 103

Swych dwoygiem imion Medor, Angelika  
Świecą, pospołu stokroć powiązani.  
Ile tam liter, tyle gwoździ wnika  
W zagrżane serce y okrutnie rani.  
Stokrotne trwogi kasaia nędznika,  
Stem wąpień obłęd swoy brzydliwy gani;  
Pyta, czy inna Angelika może  
Nie popisała liter swoich w skorze.

## 104

Y zasię mowi: Wždy mi pismo znane,  
Tyle-ć je razy oglądałem z bliska;  
Wierę to imię Medora udane,  
Mnie to rozumie z cudzego nazwiska.  
Takie racyie nieumiarkowane  
Śle rozsądkowi, tusząc, że co zyska;  
Y znowu nierad uludney nadzieie  
Sam się fałszywym wykładaniom śmieje.

## 105

Coraz zapala, coraz myśli rące,  
Miast żeby gasił, podeyżrzeniem trapi,

Iak nieostrożny ptak, co się upłace  
 W sieć, albo pierzem na lepy ułapi,  
 Prozno więc krzydła usila trzepiące,  
 Tem barziesy grzęźnie, im chutnicy wyiść kwapi.  
 — Nadszedł tam Orland, gdzie wygiętem bokiem  
 Rozwierała się gora nad potokiem.

106

Zdobily wniście do oney to groty  
 Z winną macicą bluszczow krzywe pędy;  
 Tam kochankowie na porze spiekoty  
 Swe odprawiali wczasy y gawędy;  
 Tam dwoyga imion malują się sploty  
 Gęściey y czuley, niśli indziey wszędy,  
 Lub węglem, lubo rysowane kwaszem,  
 Lub wyrzezane nożem czy palaszem.

107

Wszedł do iaskinie grabia zadumany:  
 Zaraz od proga, snadź ręką Medora,  
 Obaczył gęsto popisane ściany  
 Tak świeżo, iakby nieledwie od wczora.  
 Rozkoszy, odeń w grocie kosztowaney,  
 Rymem świadczyła mowa wielowzora,  
 W tantem języku barzo wdzięczna — tuszę,  
 Którą tem sensem wyłożyć pokuszę:

108

Wesołe drzewa, trawo, iasne wody,  
 Mroczna iaskini, w chłodny cień ubrana,  
 Kędy tak często precudney urody  
 Galafronowna, od wielu kochana,  
 W ramionach moich bez żadney przeszkody  
 Odpoczywała; zato, że mi dana  
 Od was ta wolność, nie mając ubogi  
 Medor czem płacić, całuję ty progi.

109

Y proszę wszytkich panów miłośników,  
 Wszytkich rycerzy, panny miłujące,  
 Wszytki persony kmieci czy pątników,  
 Co z woli, abo z losu ku tey łące,  
 Do tych wod i grot przyidą y gaików:  
 — Modlcie się społem: Błogosław iem słońce  
 Y księżyc; Nymphy! uchowaycie szkody,  
 Zdala trzymając pastyrze y trzody.

110

Pisane było to arabską mową,  
 W której był grabia ćwiczon iak w łacinie;  
 Siła on innych znał, atoli ową  
 Przed wszytkiemis miał, mądry Paladynie!  
 Nieraz on uszedł chwalebnie y zdrowo,  
 Nią się ratując w pogańskiej krainie,  
 Wždy niech się nie dmie, że miał z niey korzyści,  
 Teraz mu sroga ztąd boleść się ziści.

## 111

Trzykroć, czterekroć, sześćkroć rzeźby pytał  
 Okiem utkwionem w przeraźliwe słowa,  
 Mniemając, że się odmieni, co czytał,  
 A zawždy iedna była słow osnowa.  
 Coraz żal srogi za serce go chwycił,  
 Tak prawie, iakby iaka dłoń lodowa.  
 Nareście skostniał, wzrok y umysł mętny  
 Utkwiwszy w skale, skale obojętny.

## 112

Tedy mu ięło mieszać się w rozumie  
 Z wielkiego wszytkich zmysłow usilenia.  
 Iedno, kto w sobie sam zaznał, zrozumie,  
 Że być nie może większego cierpienia.  
 Broda mu zwisała na łono w zadumie,  
 Hardości w oczach nie zostało cienia;  
 Y tak całego bol zadzierzył w rękę,  
 Że łez powiekom, ustom brakło ięku.

## 113

Zbyt się rozparła w niem żalność w tej porze,  
 Co rychley kwapiąc wyniść z konfuzyie;  
 Iako to napoy widamy w gęsiorze,  
 Co ma pękaty brzuch a wązką szyię,  
 Gdy zagnęła dnem go wywrocisz ku gorze,  
 Tak się więc gwałtem likwor w kupę zbiie  
 Y tak się sobą zatchnie y zastanie,  
 Że jedno kropla zeń po kropli kanie.

## 114

Kęs wszedzszy w siebie, myśli — jakby sprawić,  
 By mu się rzecz ta wydała falszywa;  
 Że to ktoś panią jego chciał zniesławić,  
 Tak tuszy, marney tak nadzieie wzywa,  
 Lub, że zazdrośnik takiej chciał nabawić  
 Trwogi, ażeby dogryzł go do żywa,  
 I zasię myśli: to samo, przedzdzięki,  
 Wszak niktby udać nie umiał jej ręki.

## 115

Taką nadzieią — choć marną i skępą —  
 Posiła mdly duch, koł bolow ostrze;  
 Bryliadora dosiada i stępą,  
 Właśnie gdy słońce plac ostawia siostrze,  
 Poieżdża daley, a wtem za drzew kępą  
 Dym nad dachami nagle się rozpostrze,  
 Słyszcy laianie psów i ryki trzody,  
 Zieżdża do siola i szuka gospody.

## 116

Z unużonego zsiadł Bryliadora  
 Y stajennemu chłopcu rzucił wodze:  
 Krząta się służba do posługi skora,  
 Tu koncerz leci, tam złote osłrodze.

Dom to był, w którym spotkała Medora  
Przygoda gorna i zaszczytna srodze.  
Kłaść się chce Orland, nie czeka wieczerbe  
Syty żalością, która smak mu bierze.

## 117

Im barziew mniema, że się uspokoi,  
Tem żywiew w piersi czuie piekło iste;  
Na kaźdey ścienie, u kaźdych podwoi,  
U okien pismo widząc nienawiste.  
Chce pytać y znów odezwać się boi,  
By się nie stało nazbyt oczywiste  
To, co naigęsztem radby zakrył mrokiem,  
Iżby go przykrem nie kłolo widokiem.

## 118

Mało ta własna zdrada mu pomoże,  
Choćby nie pytał, znajdzie gawędziarzy:  
Pastyrz, w ponurym widząc go humorze  
Y chcąc mu ową zwiąć zadumę z twarzy,  
Historią, którą gości we swym dworze,  
Ktoby iey ieno zechciał słuchać — darzy  
I ktorey wielu zbyt słuchano mile,  
Niemieszkaięcy rozpoczął w tę chwilę.

## 119

Iako z roskazu pięknej Angeliki  
Do chaty przeniósł rannego Medora  
Y iak pod ręką łagodną podwiki  
Rychło się rana zagoiła chora  
A otworzyła w niej, gdy ogień dziki  
W zanadru wszczął się od strzału Amora  
Y taki pożar z lubego żeleźca,  
Że sobie nigdzie nie nayduje mieysca.

## 120

Takie więc było nieumiarkowanie  
U naywiększego z wschodnich krolow cory,  
Y taka miłość przypadła już na nią,  
Lichego żoną że została ciury.  
Dokonało się tem opowiadanie,  
Że mu okazał pastyrz pierścień, który  
Przy pożegnaniu — za dobrą gospodę —  
Od Angieliki odebrał w nagrodę.

## 121

Koniec pastyrza mowy był toporem,  
Który mu głowę odrębał od szyie,  
Bo Amor z sercem poigrawszy chorem,  
Myślał, że dobrze zrobi, gdy dobije.  
Chciał go uciszyć Orland jakim wzorem,  
Ale nie zdzierży mu, nierzkąc ukryie  
Y już się łzami na wierzech dobyć musi,  
Czy chce — czy nie chce, abo go zadusi.

## 122

Aż gdy się waży bol puścić na wołą,  
 Sam y bez świadka zostawszy w komorze,  
 Zdroyem z pod powiek lzy mu się wyzwola  
 Y spłynie na pierś niestrzymane morze.  
 Stęka y wzdycha, y puchy go koła,  
 Tam y sam sobą wszystko zwiedza łoże:  
 Twarde iak kamień, ostre iak pokrzywa,  
 Ciału dolega y rani do żywa.

## 123

Kiedy tak nudzi, na domysł mu przydzie,  
 Że wtemże łożu, gdzie właśnie spoczywa,  
 Okrom wątpienia z gamratem w bezwstydzie  
 Niewdzięczna dziewczka sypiała szczęśliwa.  
 Nagle mu puchy i nocleg w ohydzie,  
 Co nakwapliwszem skokiem się porywa.  
 Tak żeniec, kiedy na sen zwierza oczy  
 A uźrzy w podle węża — w bok uskoczy.

## 124

Nagle przeciwko łożu y gospodzie  
 Taki go uiął gniew niehamowany,  
 Że nie czekając — rychłoli na wschodzie  
 Księżyc abo świt zabieleie rany,  
 Zbroi się, siodła koń, ostrogą bodzie,  
 Wskok bieżąc przez las ciemny, niezaznany,  
 Aż gdy w naygęstszym obaczył się chroście,  
 Straszncm żalowi krzykiem otwarł uście.

## 125

We dnie y w nocy lzy mu z oczu cieką,  
 Ogromnem głosem biada, nieszczęśliwy:  
 Unika grodow, od ludzi daleko  
 Błądzi, na ziemi sypia bez okrywy.  
 Na podziw mu to, skąd się pod powieką  
 Niewyschłe bierze źródło wody żywey  
 A pierś wzdychaniom ustawnym wystarcza.  
 Takiem więc iękiem powietrze obarcza:

## 126

Nieprawie to lzy, ktore falą słoną  
 Z pod czoła żal mi wyciska głęboki:  
 Zabrakło już łez mey miłości pono,  
 Bo wszczął wpolu mąk wyschły ich potoki.  
 Pożarem, ktory w nędzne wżarł się łono,  
 Zagrzane, z pod rżęs wypływaią soki,  
 A wypływaią tak nadmiar obficie,  
 Że z niemi ścieką razem bol i życie.

## 127

Nie westchnienia to ruszaią się z wnętrza,  
 Owszem, westchnienia odmienny są cechy:  
 Te czasem cichną — moia coraz więtsza  
 Męka — ni chwila nie czuię pociechy.

Miłość ten budzi wiatr, co mi się spiętrza  
 W sercu pożoga, skrzydły dmac, jak miechy.  
 Miłości — iakiem się to cudem dzieie,  
 Że ciągle płonę, przedsię nie zgorcie?

## 128

Nie jestem ia ten, kim się zdam z oblicza:  
 Tamten Orland zmarł i iuż pogrzebiony;  
 Uśmierciła go dziewczka niewdzięcznica,  
 Złamawszy wiare, złamawszy zakony.  
 Ia iestem dusza iego, pokutnica,  
 W piekielne trafem obłąkana strony,  
 Która w przestroge temu lka y biada,  
 Co na miłości nadzieią zakłada.

## 129

Całą noc w leśnem błdził grabia cieniu,  
 Aż gdy świt wrota niebiosów otworzył,  
 Los go złośliwy wrocił ku strumieniu,  
 Gdzie Medor przykry owy wiersz wydrożył.  
 Gdy dostrzegł hańby swej rytey w kamieniu,  
 Znowu zapłonął; iak mu w sercu ożył  
 Y gniew, nienawiść wściekła y odraza  
 Niepomożona... wtem dobył żelaza.

## 130

Pismo y skałę zrabął, siekąc na nie,  
 Pod niebo małe leciały krzemiona.  
 Nieszczęsna grota — nieszczęsne schowanie,  
 Gdzie miłośników ryły się imiona.  
 Iuż pastyrzowi, iuż trzodzie w tym stanie  
 Chłodu ni cienia nie da rozwałona,  
 Nawet to źródło przezczyste i sklane  
 Od iego gniewu nie iest szanowane.

## 131

Gałęzie, kłody, glazy i traw pęki  
 Miotał zawzięty na czyste kryształy  
 Y tak ie zmacił do dna, że przedziękł  
 Nigdy iuż więcej iasne być nie miały;  
 Wreście zdyszany i od potu mięki,  
 Gdy mu zemdlone zmysły odmawiały  
 Władzy na wzgardę, gniew, klątwy plugawe,  
 Westchnął ku gorze y upadł na trawę.

## 132

Upadł na trawę, iakby skała padła,  
 Z oczyma w niebo leżał utkwionemi,  
 Tak bez napoiu trawiąc y bez iadła,  
 Że trzykroć gasł dzień, trzykroć wracał ziemi.  
 Boleść potroszę rozsądku mu kradła,  
 Aż zbiegł na koniec wroty otwartemi,  
 Więc dnia czwartego, wściekłem szalem chory,  
 Iął zdzierać z siebie zbroię i ubiory.



Tu paź upadł, a tam hełm bogaty,  
 Kęs dalej szabla legła przy pancerzu.  
 Słowem — by skończyć bez czasu utraty —  
 Każda broń w innem spoczęła alkierzu,  
 Zaczem na sobie porozdzierał szaty  
 Y włos ukazał gęsty jak na zwierzu.  
 Tedy się poczał ow szal wiekopomny,  
 Iakiego iuż czas nie zazna potomny.

### NICCOLO FORTIGUERRA

(Forteguerra, pseud. Carteromaco, 1674—1735)

#### RICCIARDETTO

Właśnie mi na myśl wpadło nowe tema,  
 I już nie mogę otrząsnąć zeń głowy:  
 Oto chcę stworzyć epiczne poema,  
 Którego temat i plan będzie nowy.  
 Muza ma nie jest córką słońca, nie ma  
 Złotego berła, laski hebanowej,  
 — Jest sobie chłopką, lubi żarty wolne,  
 Śpiewając na wiatr, ot — jak świerszcze polne.

Lecz choć zazwyczaj zamieszkuje lasy,  
 Poi się wodą i jada żółędzie,  
 To przecież lubi opiewać zapasy  
 I wielkie czyny, i rycerzy w pędzie...

Śpiewa dla rozweselenia siebie i drugich, nie dba o pochwały, ni nagany, które tyrani-  
 zują ludzi do tego stopnia, że:

Napotkasz wieszczą, co gryzie paznokcie,  
 Drapie się w czoło i rwie na łbie welnę,  
 Aby wynaleźć rymy wdzięku pełne.

Argumentem poematu jest, jak w typowych «chansons de geste», wyprawa Kafrów pod Paryż, podjęta z poduszeczenia czarnej księżniczki Despiny (dawnej Fior de Spina), mszczącej się za śmierć brata, którego Ricciardetto położył w pojedynku. Metodą Ariosta, powieść przerzuca się coraz to do nowych epizodów: Ricciardetto, Alardo, Astolf poszukują w Hiszpanji szalonego Orlanda, samych zaś bierze chwilowo w miłosną niewolę niby druga Armida — Madonna Stella. Równocześnie Rinaldo dokazuje w Persji: zabija gigantów, pali czarownice, oswobadza piękną córkę Galafrona, «króla Azji i Afryki», zakochaną w Lindorze, zabija tysiąc harpij, wydiera Angelikę z rąk lubieżnego mnicha Ferrau, nawróconego poganina i prawie głównej figury poematu. Potem paladynowie znajdują Orlanda i Rinalda, rozbijają w puch Kafrów pod Paryżem; Despina zmienia nienawiść na miłość i znów pod wpływem czarów miłość na nienawiść, aż wreszcie, przyjąwszy chrzest wraz z królem Kafrów, wychodzi za Ricciardetta, wybranego cesarzem po śmierci Karlomana, wysadzonego w powietrze z Rinaldem i Orlandem przez Ganona zdrającę. Do nieba wlecieli wszyscy trzej, wzięwszy się za ręce; św. Piotr otworzył im bramy; raz jeszcze zesłi na ziemię na chrzest pogan i wesele Ricciardetta.

Rinaldo, uwolniwszy piękną Lucynę, słyszy grzmoły.

Żegna się zatem i w piersi się grzmotnie,  
 I przebaczenia woła za swe grzechy;  
 Żal-bo mu, że ma umierać sromotnie,  
 Bez religijnej zupełnie pociechy;  
 Radby swe winy w wór wsypał ochotnie  
 I u stóp księdza złożył jak orzechy.  
 — Dama, zdziwiona tym rozpaczy gestem,  
 Pyta: «A co to?» — On: «Chrześcijanin jestem».

Poganka słyszy ten wyraz po raz pierwszy, Rinaldo nie umie jej wyjaśnić dobrze różnicy pogaństwa.

To wiem, że trawę ziemi, gwiazdy nieba  
Stworzył Bóg i że chrześcijan chce u siebie  
A saracenów na piekielnym chlebie.

Mnich Ferrau, jakby z «Dekameronu» wycięty, zbyt jest wrażliwy na powaby niewieście; kiedy umiera, czart posyła mu do celi widma pięknych kobiet.

A na ten widok Ferrau, biedota,  
Zaśmiał się, choć już widział śmierci wrota.

Lecz ojciec Hildebrand, który nań zważa,  
Coś podejrywa powód tej uciechy,  
I ta piekielna rzesza go przeraża,  
Więc prędko tak się odzywa do klechy:  
«Dla niebieskiego chowaj wirydarza  
Śmiech, synu; a tu kajaj się za grzechy  
I szewnie ducha wznoś». Tu go przeżegnał  
Święconą wodą i djablice przegnał.

(Niccolo Carteromaco, Ricciardello, Parigi 1738.)

## GIORDANO BRUNO

(1548—1600)

### WIECZERZA POPIOŁÓW

Doktryna, zamknięta w 5 dialogach niniejszego dziełka, przedstawia cztery propozycje: 1. Wszehświat jest bezkresny; zbyteczna szukać w nim badź ogniska, bądź obwodu. 2. Glob ziemski jest tej samej materji i formy, co inne gwiazdy. 3. Wszystko, co jest stworzone, rusza się, żyje, stanowi istotę żyjącą, zwierzę. 4. Owe przeolbrzymie «zwierzęta» poruszają się wedle planu, tak pełnego mądrości i celowości, że wyglądają na istoty rozumne — «zwierzęta intelektualne».

Dialog III, prop. 4... «Dobrze rozważając, znajdziemy, że ziemia i inne ciała, zwane gwiazdami, człony naczelné wszechświata, jak dają życie i pokarm rzeczom, jak z owych rzeczy czerpią swój mięsz, tak samo — i jeszcze w wyższym stopniu — posiadają życie samo w sobie, dzięki któremu wedle dostrojonej i przyrodzonej woli, z zewnętrznego pryncypjum, poruszają się we właściwych przestworach. Nie istnieją zaś inne bodźce zewnętrzne, któreby poruszaniem fantastycznych sfer obracały te ciała po drogach okólnych. Gdyby bowiem tak było, to ruch byłby gwałtowniejszy, ponad przyrodzenie ruchu, a bodźce byłyby niedość skuteczne, a jedno i drugie wymuszone i mozolne, do czego przystąpiłyby jeszcze inne niedomagania.

Uważmy zatem, jak to płec męska ciągnie ku żeńskiej, i odwrotnie; jak ziolo i zwierzę, jedno wyraźniej, drugie mniej wyraźnie zdąża ku swemu żywotnemu pryncypjum, a więc magnes ku żelazu, żdźbło słomy ku bursztynowi i wogóle każda rzecz szuka swego dopełnienia, a cofa się przed przeciwieństwem; dostateczną przyczyną tych ruchów jest pryncypjum wewnętrzne i przyrodzone, nie zaś jakiś bodziec zewnętrzny, działający bądźto przeciw, bądź poza naturą rzeczy. Ziemia zatem i gwiazdy poruszają się wedle swoich właściwości miejscowych z tego pryncypjum wewnętrznego, jakim jest własna dusza».

«Czy sądzisz» — rzekł Nundynjusz — «że ta dusza jest sensytywna?» — «Nie, tylko sensytywna» — odparł Nolano (n. b. Giordano, ur. w Noli) — «ale także intelektualna, jak nasza człowiecza, a może jeszcze w wyższym stopniu...»

(Cena de le ceneri, Milano 1864, p. 85.)

### LICHTARZ

Dedykacja: A la Signora Morgana

«Do ciebie, oraczko duszy mojej, która, rozbiwszy głębię jej twardości i przytępwszy jej kolec, aby mgła kurzawy, podniesiona wiatrem lekkomyślności, nie obrażała

oczu tego i owego; boską wodą, wypływającą z głębi twego ducha, splotkałaś mi umysł».

Niewiadomo, czy autor pisze żartem, czy na serjo.

«Czas wszystko bierze i wszystko daje; każda rzecz się zmienia, żadna się nie traci; jedno jest, które nie może zmienić się, jedno i wieczne; i może przez się trwać wiecznie, jedno podobne i to samo».

(Ostatnie słowa znajdują wyjaśnienie w wykładzie teorii Brunona) «Tą filozofją dusza mi rośnie i udostajnia się umysł». A dalej: «Skoro zmiana jest nieunikniona: Ja, który jestem w nocy, oczekuję dnia, ci, co są we dnie, niech czekają nocy.

Wszystko, co jest, jest albo tu, albo tam, albo blisko, albo daleko, albo teraz, albo potem, albo prędko, albo późno. Raduj się zatem i, jeśli możesz, chowaj się zdrowo i kochaj tego, który cię kocha».

Prolog zawiera treść chaotycznej w swych epizodach komedji: «Obaczycie u kochanka westchnienia, lzy, rozstargnienia, drżenia, sny, otuchy i serce usmażone w ogniu miłości. Myśli, abstrakcję, gniewy, szaleństwa, zazdrości, kłótnie i mniejsze nadzieje, niż pożądania. Tu znajdziecie na duszę kłody, sznury, łańcuchy, niewolę i więzienie; prócz tego kary wieczne, mękę i śmierć... Obaczycie inną z tych kobiet, żalującą zaniedbania grzechów w piekle, gdy była młoda (zielona), a teraz bolesna jak osioł, który dźwiga wino — ale cóż? Anielica, ambasadorowa, sekretarzowa, radczyni, referendarzowa, nowiniarka, kupczyni, tkaczka, faktorka, handlarka i prowodyrka, tan-deciarka sere i szmaciarka, kupująca je i sprzedająca na wagę... etc.»

(*Giordano Bruno, Il candelajo, Milano 1863, p. 5—21.*)

## TOMASO CAMPANELLA

(1568—1639)

### WIARA NATURALNA PRAWDZIWEGO MĘDRCA

Wierzę w jednego Boga: moc, mądrość i miłość;  
Boga, życie i prawdę, dobroć niepomiarną;  
Pierwobył, króla bytów i Stwórcę wszechświata.

Ni częstką jest, ni wszystkim, punktem, ni obszarem,  
Raczej wzorem wszechrzeczy; stąd po nim rzecz wszelka  
Uczestniczy w miłości, mądrości i mocy.

Ani przed, ani po nim, ni poza nim dusza  
Myśląca kroczyć winna, by nie zbłądzić,  
Bo czas, miejsce, potęga jego są bezkreśne.

Odeń, przezeń, w nim samym są postanowione  
Przestworza bezgraniczne i wszystkie w nich byty;  
Tworząc je, nie posłużył się nikim i niczem.

Jedność i trwanie czasu pochodzą od niego,  
Lecz liczba oraz stworzeń szczególnych odmiennosc,  
Jakie z sobą czas niesie, naszym są wymysłem.

(*T. Campanella, Poesie filosofiche. Fede naturale del vero sapiente, ed. Orelli, Lugano 1834.*)

## SALVATOR ROSA

(1615—1673)

### SATYRA II

Satyra na współczesną poezję; wyszydzone w niej wszystkie dziwactwa poetyckich kierunków, wydobyte, ku przestrodze, sławne «kwiatki» stylu i języka: potworne

przenośnie, porównania, pomysły; istne «ludzkie kadłuby z głowami bydlęciami», «delfiny w lesie» i «dziki na morzu». Gani zbyt dużą uczoność poetów; już nie lubił jej Jowisz, skoro Minerwę z głowy wypędził. «Czy nie widzicie, jak śmieją się z was, kiedy opisujecie wdzięki swoich dam?» «Oczy-gwiazdy, brwi-luki, twarz-niebiosa, słowa-grzmoty, westchnienia-bomby i petardy, włosy-deszcz złoty, piersi-kuźnia Amora». W jednym sonecie slyszalem o damie, której usta byly «arką arabskich woni, muszkatu i piżma». Neptun zwie się tam «słonym bogiem», słońce-katem, «który ścina głowy cieniów toporem promieni». — Szydzi z rozczochranych poetów, z filozofów brudnych i obdartych, którzy ogryzają paznokcie, a drapiąc się po głowie, «dumają o Indjanach i Mamelukach». Przedrzeźnia wyszukane nazwy akademij i gromi literackie pieniactwo:

Nie włącz w nieswoje i nie szczekaj kondla  
Głosem na cudze rymy; — nikt nie zważa;  
Gdyś «omączony»<sup>1</sup>, to ruszaj do rondla.

Obrzydli mu dworscy pochlebcy: «Ledwo się księciu urodzi syn, sypią się przepowiednie czolobitności: księżyc na młodziuku będzie mu służył za kołyskę, zodiac za pieluchy; wszystkie wody Meksyku, Egiptu, Syrii runą na chrzest tego, który rośnie dla polityki, żyje ateuszem, a umiera kacerzem». Uderza poeta zwłaszcza na niemoralność tego pseudowstydliwego stylu, omawiającego dwuznacznikami Pazyfaje i Priapa. «Ale gdzież mię unosisz, Muzo?» — tak kończy — «świat dziś zwrócony cały ku Lesbji i Tais; czasy to właściwsze do milczenia, niż pisania wierszy».

Zjawisko niezwykle i prawie jedyne, poeta poglądujący na dwory i wszechwładne książątka, nie jak stęskniony do gajów pasterz, ale jak miłujący swobodę republikanin; wstydem napelnia go płaszczenie się, które tak przesiąkło w organizmy ówczesnych ludzi:

— — — — —  
Żeni się książę, hejże! na wyścigi  
Epitalamja i ody, i hymny:  
Największy worek wszystkich nie pomieści.  
— Spoczynek dajcie Muzie miodorymnej:

Dziś nam potrzebna pieśń odmiennej treści  
Niżli do stołu i niżli do tanu;  
Śpiewak powinien być pełen boleści.

Czego dziś więcej? Wyznawców Koranu<sup>2</sup>  
Czy Biblii? Więcej pielgrzymów kto gości:  
Rzym czy Genewa?<sup>3</sup> Śpiewajcie, jak panu

Za kawał chleba zbywa się wolności  
I czci. Ha, wolność umarła — i wiara;  
Uczciwość pusty dźwięk, te duszne włosci

Stały się lupem tyranów!...

(*Salvator Rosa, Le Satire Classici ital. t. LXXV, Milano, s. d.*  
*Z zwycięstwem p. G. Carducciego.*)

## MATTEO BANDELLO

(1485—1561)

### NOWELA

W czasie kiedy pani Małgorzata austriacka, córka cesarza Maksymiljana, przybyła za mężem do Sabaudji, żył w jednej prowincji Piemontu szlachetny i dzielny pan,

<sup>1</sup> Aluzja do Akademji dé Infortunati.

<sup>2</sup> Aluzja do przewagi tureckiej.

<sup>3</sup> Siedziba Kalwina.

którego imię zamilczę; posiadał zamki i wasalów, zaś większą część życia przebywał na dworze, ile że był człowiekiem roztropnym, a księżę wysoce go cenił. Wziął za żonę szlachetną pannę z owych stron, która, choć nie naujurodziwsza, mogła dorównać innym, bo czego jej nie dostawało w urodzie, to nagradzała znamienitym rozumem i obyczajnością... Mąż, człowiek poważny, kochał ją i cenił wielce; miał z nią dwoje dzieci, już dorosłych. Wiekiem był bliski lat 63; żona mogła liczyć około 35; niezaspokajana uściśnieniami męża, gdyż on bawił przeważnie u boku księcia, zwróciła oczy na pewnego młodzieńca, mężowskiego wasala, i gorąco się w nim zakochała. Bywał codziennie na zamku, grywał z panią w szachy, warcaby i karty; poufalil się z nią dniami i wieczorami. Mąż bynajmniej niezazdrosny, o ile bywał przy żonie, nie zwracał uwagi na jej obejście, tem bardziej, że, jak wiecie, w tych naszych towarzystwach damy zachowują się bardzo swobodnie w obcowaniu z mężczyznami, a całować nasze żony w naszej obecności nie uchodzi za rzecz zdrożną, raczej jest dozwolone i przyzwoite, bo kiedy zacny szlachcic wchodzi w nasz dom, uważalibyśmy, że wyrządza ujmę naszemu honorowi, nie racząc ucałować żony, córki, siostry i wszystkich obecnych niewiast, a całowanie ich uważamy za zaszczyt. Podobnie też, kiedy widzimy, jak nasze panie rozmawiają z gościem na uboczu, nie dąsamy się, nie jest to bowiem uważane za coś złego, jak u was Lombardów.

Przebywając zatem z damą tak poufale, spostrzegł, że zapala się niezwykle ku niemu afektem. A ujęty takim zaszczytem, już otwarcie, bez uwagi na niebezpieczeństwo, począł przyjmować jej miłosne zapaly i wzajemnie umiłował ją żarliwie. Nie minęło wiele dni, kiedy dzięki obopólnej skłonności wyjawili sobie swe amory...

Wreszcie otworzyły się mężowi oczy; podpatrzył ich w ogrodzie, poznał zdradę, przygotował zemstę. Złudził żonę rzekomym wyjazdem, wrócił potajemnie nocą, naszedł kochanków w sypialni...

Kazał przynieść powróż i zmusił żonę, żeby własnoręcznie powiesiła kochanka na gwoździu, wbitym w pułap... Następnie kazał wynieść z izby wszystkie sprzęty, a tylko w kącie zostawić tyle słomy, ile wystarczało dla dwojga psów, poczem odezwał się do żony: «Niewiasto, która splamiałaś cześć moją i swoją i nade mnie ukochałaś mego poddanego, chcę, abys tu z nim pozostała nadal, a z tobą ta stara stręczycielka (służebna, pośredniczka amatorów); już bowiem stąd nie wyjdiesz». Nie był to próżny postach, kazał bowiem wstawić w okno kratę, zamurować drzwi, zostawiając tylko mały otwór, przez który nędzarkom podawano chleb i wodę; a straż oddał kasztelanowi. Nieszczęsne kobiety, płacząc gorzko, pozostały w takim zamknięciu, ale niedługo, bo trup zaczął niebawem cuchnąć tak, że cały świat mógłby być tknięty zarazą. W takim stanie przeżyły wspólnie do szóstego roku. Gdy wreszcie zachorzały, szlachcic ów kazał wywlec obie i zanieść do innej izby, gdzie szlachetna pani wkrótce umarła, starą zaś wypędził, gdzieby iść zechciała.

(*Tesoro dei novellieri italiani, Parigi 1847, od II p. 123—125.*)

## ANTONIO FRANCESCO GRAZZINI LASCA

(1503—1584)

### TREŚĆ

Wawrzyniec Medyceusz Wspaniały każe dwom zamaskowanym slugom, po wieczery, pijanego lekarza Manente zaprowadzić potajemnie do pałacu i tam go więzi w ciemnicy, nieświadomego, gdzie się znajduje. Zamaskowani dostarczają mu pokarmu. Przez trefnisia Monacha rozgłasza, że Manente umarł na zarazę i każe w jego miejsce pogrzebać jakiegoś umrzyka. Po czasie wypuszcza go na wolność. Manente wraca do Florencji; żona, mniemając, że to duch nieboszczyka, przepędza go; jedyny Burchiello (znany poeta-żartowniś) go poznaje. Żona przedstawia sprawę naprzód w arcybiskupstwie, potem w Radzie Ośmiu; wreszcie rozstrzyga ją sam Wawrzyniec, który tłumaczy, że wszystko zdarzyło się siłą czarów. Tak odzyskawszy żonę, Manente wybiera św. Cypryjana za swego patrona.

(*Ant. Fr. Grazzini, Novelle, Milano 1810, III cena nov. 10.*)

## GIAN GIORGIO TRISSINO

(1478—1550)

## SOFONISBA

Treść wzięta z Liwjusza: Scypjon przeciągnął na stronę Rzymian Syfaksa, króla Numidów; Kartagińczycy zwabili go napowrót, oddając mu za żonę córkę Hasdrubala Sofonisbę. Masynisa, wróg Syfaksa, przerzuca się natychmiast na stronę Rzymian, zwycięża Syfaksa, bierze go w niewolę i tegoż dnia zaślubia Sofonisbę. Z tego powodu Scypjon czyni mu wyrzuty; Sofonisba, ta dumna patrijotka, winna uwieńczyć triumf zwycięzcy. Masynisa posyła żonie truciznę.

## Scena przedśmiertna

Sofonisba: Czuję, jak sił mych ulata ostatek,  
Powoli w stronę odchodzę daleką.

Herminja (*piastunka*): O, jakie smutne dla mnie to odejście!

Sofonisba: Co to spostrzegam? Jaki tłum nieznanym?

Herminja: Biada! Co widzisz i co cię przeraża?

Sofonisba: Wy nie widzicie? Ciągnie mię ku sobie...

Co czynisz? Gdzie mię wiedziesz? Ha, wiem dobrze

Dokąd... Puść, idę już za tobą sama.

Herminja: O, smutna doło, o szczyście boleści!

Sofonisba: Czemu płaczecie? Nie wiecie, że wszystko,

Co się zrodziło, śmierci przeznaczone?

Chór: Biada nam, gdy tu przybywa za wcześniej,

Bo-ć wiosen jeszcze nie liczysz dwudziestu.

Sofonisba: Dobro przybyło-li kiedy za wcześniej?

Herminja: Bolesne dobro, co niesie ruinę!

Sofonisba: Przystąpcie bliżej... oprzeć się pozwólcie.

Czuję, że słabnę na siłach; już mglista

Noc coraz schodzi na źrenice moje...

Herminja: Oprzej się, pani, tu, na mojem łonie.

Sofonisba: Synku, niedługo nie będziesz miał matki;

Ona odchodzi precz — zostań mi z Bogiem!...

Sofonisba jest pierwszą włoską tragedją klasyczną, naśladowaną we wszystkich literaturach; sama wedle wzoru Eurypidesa, jak inne — Seneki. Poeta użył też do niej po raz pierwszy wiersza 4-zgłoskowego niczymowanego (*verso sciolto*).

(G. G. Trissino, *La Sofonisba*, Milano 1864.)

## PIETRO ARETINO

(1492—1556)

## KURTYZANA, KOMEDJA

Akt IV, sc. 15

Żyd Romanello, przekupień starzyzny, i Rudy, lokaj.

Żyd: Starzyzna, starzyzna!

Rudy: Spróbuję nabrać go jak rybaka (*oszukał go na sprzedaży*).

Żyd: Starzyzna, starzyzna!

Rudy: Chodź tu, żydzie.

Żyd: Co pan rozkaże?

Rudy: Skąd ten kaftan?

Żyd: To po kawalerze Brandino. Jaki aksamit!

Rudy: Ile za niego?

Żyd: Niech pan przymierzy, potem będziemy mówili o cenie.

Rudy: Dobrze powiadasz.

Żyd: Włóż pan naprzód płaszcz. Tu jest ramię. Niech tak nigdy nie oglądam Mesjasza, jeżeli nie jest uszyty jak dla pana. Piękny kawałek kaftana.

Rudy: Mów prawdę.

Żyd: Niech mię tak Pan Bóg w szabes nie poprowadzi do synagogi, jeżeli na panu nie leży jak malowanie.

Rudy: A teraz cena; jeśli mi go sprzedasz ucziwie, po mojej chęci, to kupię jeszcze ten habit dla mojego brata w Aracaeli.

Żyd: Jeśli go pan kupi razem, to opuszczę z ceny, a niech pan wie, że należał do samego wielebnego Aracaclego *in minoribus*.

Rudy: Tem lepiej. Ale brat mój jest słusznego wzrostu, chcę zobaczyć, jak wygląda ztyłu, a potem potargujemy.

Żyd: I owszem, wyda pan sprawiedliwie swoje bajoki.

Rudy: Spadł ci sznur; włóżże teraz szkaplerz. Tak, jest wcale zacny.

Żyd: A jakie sukno!

Rudy: Wydajesz mi się porządnym człowiekiem, dlatego wymyśliłem dla ciebie coś dobrego.

Żyd (*n. s.*): Rak w zatrzasku...

Rudy: Chciałbym, żebyś się wychrzcził.

Żyd: Pan życzy sobie rozprawiać. Pan wierzy w Boga i ja w Boga. Jeżeli pan życzy sobie kupić, to jedno, jeżeli rozprawiać — to drugie.

Rudy: Grzech dobrze ci życzyć. Kto tu mówi o duszy. Dusza to jest «*la minore*» (*przełanka w syllogizmie*).

Żyd: Zdejm pan już mój kaftan.

Rudy: Patrz na mnie. Z trzech powodów pragnę, żebyś się przechrzcził.

Żyd: Zdejm pan, powiadam.

Rudy: Słuchaj, bestja! Jeżeli się przechrzczisz, to zaraz pierwszego dnia zdióbiesz pełną misę denarów, potem cały Rzym zbiegnie się podziwiać cię w wieńcu oliwnym, a to jest piękna rzecz.

Żyd: Masz pan dużo czasu (*bel tempo*).

Rudy: Po wtóre, będzie ci wolno jeść wieprzowinę.

Żyd: Mało dbam o nią.

Rudy: Gdybyś popróbował bulki posmarowanej sadłem, wyrzekłbyś się dla niej stu Mesjaszów. Co to za muzyka taka bulka smażąca się na ogniu z dużym kielichem między kolanami: smaruj, jedz i pij!

Żyd: No, oddaj mi pan kaftan, bo nie mam czasu.

Rudy: Po trzecie, nie będziesz nosił czerwonej odznaki na piersiach.

Żyd: Co mię to obchodzi.

Rudy: Obchodzi, bo Hiszpanie gotowi cię ukrzyżować za ten znak.

Żyd: Za co ukrzyżować?

Rudy: Bo z tym znakiem jesteście do nich podobni.

Żyd: Jest przecie między nami różnica.

Rudy: Niema różnicy, póki go nosicie. A potem, skoro nie będziesz nosił tej cechy żydowskiej, chłopaki przestaną cię obrzucać skórkami z cedru, lupinami z melonu albo pestkami z dyni. A więc przechrzcij się, przechrzcij się, przechrzcij się. Chciałem ci to powtórzyć trzy razy.

Żyd: Nie chcę, nie chcę, nie chcę. Ja też powtarzam trzy razy.

Rudy: Ja, panie żydzie, jako człowiek ucziwy spełniłem obowiązek i oczyściłem sumienie. A teraz ty: ile żądasz za to wszystko?

Żyd: 12 dukatów.

Rudy: Złotych czy karlinów.

Żyd: Rzymskiej monety, rozumie się.

Rudy: Obróćno się jeszcze, żeby obaczył, jak się fałduje ztyłu.

Żyd: Już się odwróciłem.

Rudy: Stójno — móle!

Żyd: To nic nie znaczy.

Rudy: Czekaj, nie ruszaj się.

Żyd: Nie ruszam się, niech pan obejrzy (*Rudy ucieka w kaftanie, żyd goni za nim w habicie mniszym*).

Żyd: Złodziej, złodziej, łapaj złodzieja, trzymaj złodzieja!

(Nadchodzi patrol, Rudy oskarża rzekomego braciszka o robienie awantury po pijanemu. Scena kończy się pokrzywdzeniem żydowina, niezbyt budującym.)

(*Teatro italiano antico, t. VI, Milano 1809.*)

## TORQUATO TASSO

(1544—1595)

AMYNTAS

Akt I, sc. 2

Chłopiątkiem jeszcze tak małym, że ledwo  
Sięgnąć umiałem drobniuchnymi dłońmi  
Po owoc zwisły u zgiętej gałęzi  
Drzewinek, bliską zawarłem znajomość  
Z najurodziwszą, najdroższą dziewczeczką,  
Co kiedykolwiek złote na wiatr włosy  
Puszczala; córkę poznałem Cidippy,  
Córkę Montana, bogatego w trzody:  
Sylwją, zaszczyt gajów, dusz zarzewie.  
O niej to mówię, nieszczęsny; ach, z nią to  
Żyłem czas pewien tak razem, że dwoje  
Gołąbków w równie serdecznej kompanji

Nie dotrwa, ni dotrwało. —

Mieszkanie nasze wspólne

— Wspólniejsze były serca;

Zgodny był wiek obojga

— Zgodniejsze myśli były.

Z nią to na ryby zastawiałem sieci  
I na ptaszęta; z nią razem ściగాłem  
Jelenie szybkie i płocze daniela;  
Wspólna uciecha była, zdobycz wspólna.  
— Lecz podczas, gdym ja z zwierząt czynił łupy,  
Nie wiedząc kiedy — sam łupem się stałem,  
Zwolna i zwolna wyrastał w mem sercu  
— Nie wiem z jakiego kielka —  
Niby to ziele, co z siebie wyrasta,  
Jakiś afekt nieznany,  
Co przynagłał chęć moją  
Być ciągle razem, blisko  
Mej urodziwej Sylwji;  
Wysysałem z jej oczu  
Jakąś słodycz przedziwną,  
Co potem zostawiała  
Jakiś posmak gorczy,  
Wzdychałem często, nie znając powodu  
Tych niepojętych westchnień.  
Tak więc kochankiem byłem, nim poznałem,  
Czem właśnie jest ta miłość.  
Wreszcie doszedłem — — — (w. 64—100)



## GIAMBATTISTA GUARINI

(1538—1612)

## WIERNY PASTERZ

Akt I, sc. 1

Linc o: Sylwjuszu, patrz dokoła:

Wszystko, co piękne, i wszystko, co miłe,  
 To twórczo miłości; kocha niebo, kocha  
 Ziemia, kocha morze.  
 Ta — patrz — na niebie od wschodowej strony  
 Gwiazdeczka wyiskrzona,  
 Miłością gore ona; synka swego  
 Czuje płomienie; rozkochując ludzi,  
 Sama błyszczy kochaniem.

.....  
 Kochają w głębi boru  
 Dzikie zwierzęta; pośród fal kochają  
 Lekkie delfiny, ciężkie wieloryby.  
 Ptaszyna, co tak śpiewa  
 Stodziuchno i tak rozpustnie polata  
 To raz z brzoźki na buczek,  
 Z buczku na krzew mirtowy,  
 Rzekłaby, gdyby mogła:  
 «Z miłości gorę, ach, z miłości gorę!»  
 Lecz serduszek ma chore  
 I tak w mowie swej gwarzy,  
 Że to rozumie wszystko jej pieśniczka.  
 — Słyszysz... słyszysz, Sylwjuszu?  
 Pieśniczka szeptem rada:  
 «I ja też gorę — ja też» — odpowiada.  
 Ryczy na paszy bydło; — te bydłeta  
 Do miłosnego święta  
 Drżą; lew w lesie poryka,  
 A nie gniew to w nim gości:  
 — To westchnienia miłości.  
 Wszystko więc, wszystko kocha  
 Oprócz Sylwjusza; więc ma Sylwjuś jeden  
 Na ziemi, morzu, niebie  
 Mieć serce bez kochania?...  
 Porzuć dziką zwierzyńcę,  
 Szalony chłopcze; rzuć bory i kochaj!

*(Giamb. Guarini, Il pastor fido, Bari, Laterza 1914.)*

## POEZJA ARKADYJSKA

FRANCESCO REDI

(1626—1698)

## PIEŚŃ BACHUSA

Gdyby winnych gron soki ponętne  
 Nie krzepiły śmiertelnym żył w ciele,  
 Życie nasze zbyt byłoby smętne,  
 — Takie krótkie, a zła w niem tak wiele!

Purpurowa krew — promień poczęty  
 Z tego słońca na niebie, co świeci;  
 Z nieba strzelił i uwiązał zamknięty  
 W winogradu zasklepionej sieci.

Nuże zatem, w krwi owej po trudzie  
 Żyły nasze i mięśnie hartujmy,  
 Na przekorę starości i nudzie,  
 Roślejszemi kielichy się pójmy!

(*Fr. Redi, Le piu belle pagine di Fr. Redi, ed. Giacosa, Milano 1925.*)

### FRANCESCO DA LEMENE

(1626—1704)

#### MADRYGAŁ

Dzieweczki pokrzywdzonej,  
 Płaczącej swego losu,  
 Jowisz dolą wzruszony,  
 Płaszczących skrzydeł użyzył i głosu.  
 Wzbija się na nich, w rzewnej skarży mowie,  
 A słowikiem się zowie.  
 Na wzgórz zieleni, zdumion niesłychanie,  
 Amor usłyszał rozkoszne śpiewanie.  
 Oczarowany dźwięki  
 Cudnego śpiewu, nuż dumać i radzić,  
 Jakby Zeusa przesadzić.  
 Wysłuchawszy piosenki  
 Płaszka artysty, co tak słodkim głosem  
 Nuci, tryluje, kwili,  
 Zmienił go w dziewczę znów — i to jest Lili...

(*Fr. da Lemene, Poesie diverse, Parma 1726.*)

### VINCENZO DA FILICIAIA

(1642—1707)

#### ODA DO KRÓLA POLSKIEGO JANA III

Strofa 1. Prosi o przebaczenie, iż waży się na lak wysokie loty, zwykłe preludjum pindaryjczyków.

Strofa 2. Jedni winni wielkość swą przodkom, inni urodzeniu, inni szpadzie, ty sobie samemu i swej dzielności. «Ty byłeś królem, zanim cię koronowano».

Strofa 3. Zwycięstwa twoje liczniejsze niż piasek nadmorski, a także dzieła pokoju od krain, gdzie dzień ma kolebkę, aż dotąd, gdzie słońce zachodzi.

Strofa 4. Nazywa poeta króla tarczą i szpadą Europy, oddaje wszystkie jego wawrzyny pod straż kastalskich dziewic.

Strofa 5. «Mdlalem» — powiada — i «mrozem krzepłem, widząc, jak straszny gość (Turczyn) wysuszał ustami wszystkie wody Istmu, gość, któremu nie wystarczały owoce Frygji i Egiptu. Napróżno zbroiła się piękna, królewska pani — Austrja i prawie już niewolnica, poddawała stopę pod bezecne żelazo. Święty posąg wielkiego państwa zdał się padać w gruzy, a miasta i grody dymić pod barbarzyńskimi iskrami».

Strofa 6. Zdawało się, że Wiedeń drży w posadach. Matki biegły do świątyń, starzy ojcowie przeklinali hańbiący dar długiego życia. «Ale ta okropna nędza, pożary, krew, jęki i ruina miały stać się, niezwyciężony królu, nasieniem twych zwycięstw».

A tej klęski, na którą złożyły się wszystkie furje, pod którą zapadł się grunt Austrii, pozwól, Niebo, że wyznam, «dziś mi nie żal».

Strofa 7. Od czcigodnego piorunu twej szpady  
 Ołśnione padły, zachmurzając lice,  
 Otomańskie księżyce.  
 Skruszyłeś szańce, pędzisz bez przeszkody  
 Jak lew, gdy depece i paszczką chwyta  
 Owce struchlonej trzody.  
 Taką rzeź sprawisz na polu zagłady,  
 Że drży aż ziemia; pogańskie narody  
 Zgniecione bierzesz pod końskie kopyta,  
 Sztandary, skarby porywasz w zdobyczy,  
 Zrywasz pas oblężniczy.  
 Stąd wołam, wołać będę wciąż: Przybyłeś,  
 Napadłeś, zwyciężyłeś.  
 Tak! zwyciężyłeś, pobożny szermierzu,  
 Przez Boga, a Bóg przez cię...

Strofa 8. Jeżeli tam, gdzie brzmiały hymny, nie wyje dziki głos Arabów, jeżeli wściekle zapędy nie burzą ołtarzy i wież, a okrutna bezbożność nie wyrzuca z grobów świętych kości, jeżeli przestraszony oracz nie ogląda spalonych murów, nie ogląda rzek płynących posoką, nie ogląda gór wzniesionych ze szkieletów, jeżeli na brzegu Istru Wiednia w Wiedniu nie szuka, tobie to przypisać.

Strofa 9. Tobie przypisać, że niemowlę nie pije z piersi matki mleka krwią zabarwionego, że dziewice i żony nie utraciły czci, że dziś «Sprawiedliwość całuje się z Pokojem».

Strofa 10. Przyjdzie czas, kiedy dziadowie będą pokazywać wnukom pole zapasów. «Tu» — powiedzą — «niezwyciężony król polski stanął obozem, tam przesadził waly, tam złamał nieprzyjacielskie szyki, wyparł, zgniótł, rozproszył, tam wzgórze i doliny, i potoki, i fosa krwią ludzką zafarbował; tu spuścił szablę, tu powstrzymał walkę i zahamował wielkiego rumaka».

Strofa 11. Cóż pomyślą dopiero, gdy się dowiedzą, że kładł na się pancierz nie ze strachu, ani dla powiększenia granic państwa, ani dla sławy własnej, ale by czci przysporzyć Bogu.

Nakoniec ogarnia poetę chrześcijański jakiś szal.

Strofa 14. Dalej, fatalny (to jest od losu zesłany) wojowniku, na ciebie czeka Europa, że ją z jarzma wyswobodzisz i że święłą Owczarnię rozszerzysz od Baktry do Tile. Nie ośmieli się już czołem ci stanąć rozległa wprawdzie, lecz chora, nędzna i upadająca monarchja, własnym ciężarem runąć zmuszona. Jeżeli prawdę mi szepczą wysokie marzenia, Ciebie wzywa wzburzona grecka stolica, Ciebie niepoczesa grecka ziemia; wzdycha do Cię Jordan, u Ciebie jedynie Galilea łaski błaga, tobie Betlejem, tobie Sydon się kłania i prosi, i płacze, wyciągając stopę w kajdanach.

#### ODA DO ITALJI

Italjo, o Italjo, ty, co z losu ręki  
 Nieszczęśliwą piękności otrzymałaś dolę,  
 Z tego wiana złej wróżby nieskończone męki  
 Bolescią wypisane nosisz na swem czole.

Bogdajś była mniej piękną, ale więcej silną,  
 By cię więcej się bali, albo mniej kochali  
 Ci, co w słońcu twych wdzięków roztopiać się zdali,  
 A jednak wiedli Ciebie na śmierć nieomylną.

Obym już z gór Alpejskich uzbrojonych szyków  
 Nie widział zstępujących! Oby Po zboczona  
 Francuskich nie poła cheiwych wojowników!

Obyś nie szła nie swoją zbroją uzbrojona  
 Staczać walki ramieniem cudzych najezdników,  
 By służyć czy zwycięska, czyli zwyciężona!

(V. da Fillicaia, *Poesie e lettere*, Firenze, Barbera 1864.)

## BAROK

GIAMBATTISTA MARINO

(1569—1625)

### PIESZCZOTY WENERY I ADONISA

Kochaj, w miłości miłość ma nagrodę  
 Największą, jaką za miłość się płaci.  
 Dwie dusze, serca dwa przez wspólną zgodę  
 Zostały dwojgiem, lecz w jednej postaci,  
 Oboje dawną zmieniły gospodę,  
 I każde żyje, lecz w sobie się traci.  
 Oboje trwają w nieswojej powłoce  
 I wszystkie swe w niej wykonują moce.

Bezkreśna rozkosz i niewymówiona,  
 Rana przesłodka, ukąszenie miłe;  
 Wzorem feniksa istność spopiłona,  
 Bo ma kołyskę razem i mogiłę.  
 Dusza tym ciosem tknięta w głębi łona  
 Umiera żyjąc, w śmierci czerpie siłę.  
 Mdleje i tęskni; jakimś dziwnym prawem  
 Cierpi bez bólu pod cięciem niekrwawem.

Tak dusza w lubem konaniu się ćwiczy:  
 Wabik dla chuci, sedno strzały celnej;  
 W płomieniu słodkim, a pełnym goryczy,  
 Przez cios śmiertelny ma byt nieśmiertelny.  
 Śmierć, która zmysłom za kordjął się liczy:  
 Nie śmiercią — życiem jest napój weselny.  
 Miłość usmierca, miłość ogniem parzy,  
 Ażebym pewniej zabić — życiem darzy.

Więc gdy się godzi z twojem chcenie moje,  
 Skoro mię wzrusza to, co ciebie wzrusza,  
 Gdy, czem się koić chcesz — i ja się koję,  
 Gdy to, co lubisz, mnie też lubieć zmusza,  
 Gdy w nas chęć jedna dzieli się na dwoje  
 I jest obojgu wspólna jedna dusza,  
 Gdyś mi dał serce, a ty mojem władasz,  
 Czemu w ramiona me jeszcze nie padasz?

O, duszy mojej słodka błyskawico,  
 Serca mojego lube utrapienie,  
 O, moich źrenic światło i źrenico,  
 Mój ty całusku, moje ty westchnienie!  
 Zwróć na mnie owe, gdzie się wdzięki syca,  
 Drżących szafirów przezyste strumienie;  
 Podaj mi owe, skąd śmierć na mnie czyha,  
 Rubinowego krawędzie kielicha!

Te oczy ku mnie zwróć, oczy uroczone,  
 Te moich spojrzeń szyby zwierciadlane;  
 Powiek — kołczany, brwi — łuki otoczne,  
 Źrenice — kuźnie lubieżą wzdymane;  
 W niebie kochania planety wyroczone,  
 Słońce urodziwych jutrzeńki przebrane;  
 Gwiazdy przejasne, których skry słoneczne  
 Zdolne mię skazać na zaćmienie wieczne!

Te usta podaj mi! Usta wy lube,  
 Pałaców śmiechu brylantowe wrota;  
 Klombie różany, skąd na moją zgubę  
 Miłosna zmija żądelkiem się miota.  
 Skrzynio, perlami na natury chlubę  
 Strojna; alkowo, gdzie Amor niecnota  
 Chroni się trwożny z obawy katusze,  
 Gdy zranił serce i zrabował duszę!..

(*L'Adone*, poema del Cav. Marino, Londra 1784, C. VIII, v. 116—122.)

Wielka część «Liry» Mariniego, oraz część «Adonisa» (p. XII, 198—207) zostały przetłumaczone przez naszego Andrzeja Morsztyna (Porów. moją rozprawę: A. M. przedstawiciel baroku w poezji polskiej. Rozpr. Ak. Um., Wyd. Filol. t. XXI. Kraków 1893.)

## COMMEDIA DELL'ARTE

FRANCESCO ANDREINI

(1578 — um. po r. 1652)

BOHATERSTWA KAPITANA GROZY

### II. Polowanie na jelenia, odyńca i niedźwiedzia

Trappola (lokaj). Jaktó? Polowanie jeszcze pana kapitana bawi?

Kapitan Spavento. Bawi mię, żal mi tylko, że nie są to już owe sławne polowania starych czasów.

Trappola. Jakiego rodzaju lówy? Opowiedz mi niektóre, drogi patronie.

Kapitan. Ponieważ lówy na jelenia, dzika i niedźwiedzia są łowami książąt i wielkich panów, ja, który jestem księciem ludzi odważnych, zabiwszy ową łanię złotorogą i bronzonogą, szybszą od wiatru; — zabiwszy także owego dzika kaledonńskiego, próbowałem także upolować niedźwiedzia, bardzo krwiożerczego zwierza.

Trappola. Patronie, zatrzymaj się z łaski waszej i pozwólcie mi na cztery słowa; uważcie, że przybieracie się w piórka zaszczytów i chwały cudzej i zapisujecie na swój rachunek to, co nie jest wasze; nazwą was dzięciołem Ezopa...

Kapitan. Próbowałem, jak powiadam, upolować dzikiego niedźwiedzia, a że tutaj na ziemi nie istnieją niedźwiedzie godne mej odwagi, cóż zrobić: jednym skokiem dosięgam ósmej sfery i tam dwoma pchnięciami dziły zabijam Małą i Wielką Niedźwiedzicę. Dokonawszy tego znakomitego i pamiętnego czynu, schodzę na ziemię szlakiem drobnych gwiazd; zostałem przez Saturna wzięty do niewoli, za to, żem uśmiercił biegun jeden i drugi.

Trappola. Lepiej było z ósmej sfery odrazu skoczyć na ziemię, niż zlażyć przez drogę mleczną i popaść w sferę Saturna. Zatem, widząc się w mocy tego wściekłego staruszka, cóżeś pan postanowił?

Kapitan. Tupnąłem tak mocno i tak zapamiętale w posadzkę siódmego nieba, żem runął wdół, przebiłem niebo Jowisza, Marsa, Słońca, Wenery, Merkurego, Księżyca. Spadając wreszcie na ziemię, znalazłem się na placu konstantynopolitańskim, przed pałacem Wielkiego Turka, który właśnie przejeżdżał dla rozrywki po ulicach Bizancjum.

Trappola. Cóż powiedział Wielki Turek, widząc człowieka, co spadł z komnat gwiazdzistych?

Kapitan. Spytał mię w swoim języku, skąd przybywam... Kiedy Wielki Turek usłyszał moje imię, natychmiast zsiadł z konia i ucałował mi kolana; to samo uczynili baszowie, wezyrowie, czauszowie, sandżakowie, berlerubejowie, janczarowie.

### IX. O próbach żarłoczności, o podróży do Kolchidy, o Syrenach.

Kapitan. Przybywszy pewnego dnia do Elidy, bardzo mądrego greckiego miasta, gdzie znajdował się Herkules, wielki pogromca potworów, usłyszałem o wyzwaniu pewnego Greka, nazwiskiem Sepreo, który dowodził, że jest większym od Herkulesa żarłakiem.

Trappola. Myślałem, że ten Grek chciał pana wyzwąć na siłę, ale według tego co słyszę, było to wyzwanie pasorzytnicze.

Kapitan. Herkules, który w onym czasie musiał mieć niezwykle apetyt, przyjął wyzwanie, a ja w tym samym czasie, laskotany wielkim głodem, prosiłem, żeby mi pozwolili wziąć udział w głodowym zatargu, co też uzyskałem bez sprzeciwu.

Trappola. Głód wypędza wilka z lasu: pan znalazłeś okazję nasycenia się. Fortuna sprzyja odważnym, a odstrasza teńców.

Kapitan. Kiedy już ułożono tę walkę obżartuchów, przygotowano stoły na arenie zapaśniczej i każdy zamówił potrawy, jakie życzył sobie pożreć... Sepreo zsiadł pierwszy i zjadł całego pieczonego byka; Herkules, drugi, zjadł stu rzezańców, a ja zjadłem sto nowonarodzonych cielątek... Po skończonej próbie wszystek lud orzekł, że ja, bez żadnej wątpliwości, odniosłem zwycięstwo... Potem udałem się do

portu, wsiadłem na przepiękny statek, obróciłem ku ślicznemu królestwu Kolchidy. Kiedy, prując fale, płynąłem pod pełnemi żaglami, natrafiłem na skały syren, zwane Sempeljadami, gdzie obaczyłem trzy przepiękne panny; jedna grała na lirze, druga śpiewała, trzecia dmuchała w fujarkę.

Trappola. Te panny powinny były rozstawić ławy i sprzedawać pomadę, gałki muszkatołowe, sok pomarańczowy, proszek do zębów i ryby z morza kolchidzkiego.

Kapitan. To były Syreny, to jest półkobiety, półryby; spostrzegłszy okręt, zaczęły śpiewać i grać tak słodko, że marynarze wszyscy pozasypiali — i ja także.

Trappola. To było z waszej strony wielkie uchybienie; wołałyby was widzieć czujnych i krzepkich.

Kapitan. Uśpiły nas wdzięczne czarodziejki, a jedna z nich gotowała się nawet skoczyć na nasz okręt i wyprawić na nim okrutną rzeź, jak to było ich zwyczajem.

(*Francesco Andreini, Bravura del Capitan Spavento, ed. Enzo Petraccone: Commedia dell'arte, Napoli 1927, p. 202—247.*)

## ANONIMA

### ATEUSZ SPIORUNOWANY

#### O s o b y:

Król Sabaudji, królowa (niewidzialna); hr. Aurelio, jako bandyta; ks. Mario; Bertolino, sługa Aureljusza; Buffelio, sługa Marjusza; Learch i Peandra, rodzice Marjusza (jako posągi); Leonora, siostra Marjusza; Angela, młoda dziewczyna; pustelnik, bandyci, żołnierze, etc.

#### R e k w i z y t y:

Trąby i bębny; strój biały dla posągów; habit, działa, szpada, etc.

#### A k t I

Miejsce: miasto Cagliari, stolica Sardynji.

O s o b y: Ministrowie, dwór. Król skarży się na chorobę królowej i na to, że nie będzie miał następcy. Ministrowie pocieszają go. Wchodzi Marjusz i opowiada z uniesieniem, że Aureljusz wykradł jego siostrę z klasztoru Westalek i że obecnie rzuca obelgi na króla i jego dom. Król oddaje mu dowództwo nad wojskiem i każe pojmać, w celu ukarania. Bertolino, bandyta w stroju wieśniaka, oraz wieśniacy, przynoszący supliki przeciw Aureljuszowi, rozbójcy i gwałcielowi. Król obiecuje wymierzyć sprawiedliwość.

#### L a s

Aureljusz, Leonora, bandyci; scena miłosna, przysięgi wierności. Bandyci opowiadają, co ich skłoniło do pójścia na rozbój. Przeprowadzają skrupowanego Cassandra, który odprowadzał żonę mężowi do Cagliari. Aureljusz wraca mu wolność; płacze; za 10 tysięcy dukatów żąda dla siebie Angeli. Leonora przez zazdrość wstawia się za nią; Aureljusz nie chce jej uwolnić. Tymczasem Bartolino opowiada, jak odniósł do króla supliki i natrafił na innych wieśniaków, równie skarżących się, i jak król upoważnił Marjusza do pościgu.

Aureljusz śmieje się z tego, rozpuszcza bandytów na odpoczynek, każe pilnować Angeli.

Otwiera się Świątynia, stoją w niej posągi grobowe ojca i matki Marjusza... Posągi mówią: «Nie zakłócaj spokoju umarłym». Aureljusz pyta: «A jeżeli zakłócę?»

Odpowiadają: «Kto nożem wojuje, od noża ginie».

W akcie II, po scenach z Pustelnikiem i Leonorą (nawróconą), bandytami i bufonami, na nowo otwiera się świątynia; figury, klęcząc, powiadają:

«Hrabio, zanim zajdzie słońce,  
Dotknie cię ramię karzące».

W akcie III figury stoją; jedna, ze szpadą w ręku, każe Aureljuszowi zbliżyć się. Ten żąda, aby mu podała rękę na zakład, że będzie się bić po rycersku. Posąg podaje rękę, zatrzymuje ją i powiada:

«Popraw się — nim zajdzie słońce,  
Dotknie cię ramię karzące».

On na to, że niema z czego się poprawiać. Po trzykrotnem ostrzeżeniu posąg mówi: «Patrz, oto zaszło słońce». Niebo rozwiera się, słychać grzmoty, ziemia drży, ściemnia się, piorun uderza, Aureljusz zapada się w głębi.

Bertolino ucieka z Angelią.

Na zakończenie Aureljusz zawodzi żale w piekle, gdy tymczasem w niebie ukazują się Posągi i Leonora wśród aniołów.

Nietrudno poznać w tej akcji, haniebnie ściągnięty do smaku gawiedzi, temat Don Juana, przyniesiony z Hiszpanji. Dopiero Da Porte wrócił mu należne dostojenstwo.

(*L'Ateista fulminato, Enzo Petraccone, La Commedia dell' arte, Napoli 1927, str. 374—382.*)

## ODBUDOWA (RINNOVAMENTO)

CARLO GOLDONI

(1707—1793)

KAWIARNIA

Akt I, scena 3

Ridolfo (kawiarz, uczciwy obywatel wenecki). Do usług, oto kawa... (n. s.: Co za nudziarz).

D. Marzio (typ plotkarza). Widziałeś pana Eugenjusza?

Ridolfo. Nie, jasnie panie.

D. Marzio. Musi być w domu; pieści się z żoną. Co za kobieciarz! Zawsze żona, zawsze żona. Nikt go już nie widuje; ośmiesza się. Człowiek z gipsu. Nie wie, co się gdzie dzieje. Zawsze żona, zawsze żona (pije kawę).

Ridolfo. Gdzie tam żona. Całą noc grał tutaj u pana Pandolfa.

D. Marzio. To samo powiadam. Zawsze gierka, zawsze gierka (oddaje łyżeczkę<sup>1</sup> i wstaje).

Ridolfo (n. s.). Zawsze gierka, zawsze żona... bodaj cię czarcil!

D. Marzio. Kiedyś przyszedł do mnie w tajemnicy prosić o pożyczanie 10 cekinów pod zastaw koleczyków żony.

Ridolfo. Widzi pan, wszyscy znajdują się niekiedy w potrzebie, ale nie lubią, żeby o tem wiedziano; dlatego właśnie zwrócił się do pana, pewny, że nie powtórzysz nikomu.

D. Marzio. Ja też nie powtarzam, chętnie oddaję usługi każdemu, nie chwając się (pokazuje koleczyki w puzderku); to są koleczyki jego żony. Pożyczyłem mu 10 cekinów; jak myślisz? czy jestem pokryty?

Ridolfo. Nie rozumię się na tem, ale sądzę, że tak.

D. Marzio. Masz tu gdzie chłopca?

Ridolfo. Gdzieś będzie.

D. Marzio. Zawołaj go. Hej, Trappola!

Scena 4

Trappola (z głębi). Jestem.

D. Marzio, Pójdź tu. Idź do złotnika, tego w sąsiedztwie tuż, pokaż mu te koleczyki, które należą do żony pana Eugenjusza, i zapytaj go ode mnie, czy jestem pokryty za 10 cekinów, które mu pożyczyłem.

<sup>1</sup> Gospodarz odbierał od gości srebrne łyżeczki — ostrożność widocznie potrzebna.

Trappola. Do usług. Zatem te kolczyki należą do pani Eugenjuszowej?

D. Marzio. Tak; już nic nie posiada; umiera z głodu.

Ridolfo (n. s.) Biedak! W jakie ręce się dostał!

Trappola. A panu Eugenjuszowi nie zależy na tem, że wszyscy będą znać jego interesy?

D. Marzio. Ja jestem osobą, której można powierzyć tajemnicę.

Trappola. A ja jestem osobą, której nic powierzyć nie można.

D. Marzio. Dlaczego?

Trappola. Bo mam tę wadę, że łatwo wszystko powtarzam.

D. Marzio. To źle, bardzo źle; jeżeli tak będziesz robił, stracisz wszelkie zaufanie...

#### Akt II, scena 13

Eugenjusz (gracz), wesoly i roześmiany: — Sługa, drodzy panowie moi.

Ridolfo. Jakto? Pan Eugenjusz tutaj?

Eugenjusz (śmiejąc się). Tak, to ja jestem.

D. Marzio. Wygrałeś?

Eugenjusz. Tak jest, mój panie, tak jest, wygrałem.

D. Marzio. Ach, ach, co za cud!

Eugenjusz. Wielkie rzeczy! Czyż nie mogę wygrać? Któż jestem? Czy balwan?

Ridolfo. Panie Eugenjuszu, to jest zrządenie losu, każące wyrzec się gry.

Eugenjusz. Cicho! Wygrałem.

Ridolfo. A gdybyś pan przegrał?

Eugenjusz. Dziś nie mogłem przegrać.

Ridolfo. Nie? Dlaczego?

Eugenjusz. Przeczuwam, kiedy mam przegrać.

Ridolfo. Więc kiedy pan przeczuwasz, poco grasz?

Eugenjusz. Bo trzeba, abym przegrał...

(Carlo Goldoni, *La bottega del caffè*, grana pierwszy raz w Mantui, 1750 r.)

#### CARLO GOZZI

(1720—1806)

#### MIŁOŚĆ TRZECH POMARAŃCZ

Treść: Król Koppe ma syna Tartaglię, melancholika; tylko śmiech może go uzdrowić. Zdrajca Leandro, czyhający na tron, w spółce ze zbrodniczą Klaryssą, chce królewiczowi zadać truciznę, dar wróżki Morgany, nieprzyjaciółki królewskiego domu, a to w postaci wierszy martelljańskich.<sup>1</sup> Uprzedza go jednak wróg Morgany, dobry czarodziej Celio, przysyłający zabawnego Truffaldina. Ten, po kilku daremnych próbach rozweselenia królewicza, przenosi go na widowisko karnawałowe. Truffaldino bije się z Morganą, ta, padając plackiem, rozśmiesza królewicza i tak przywraca mu zdrowie. Z zemsty rzuca nań czarodziejskie zaklęcie; w pochodzie masek znajdowały się trzy Pomarańcze.

«Klnę się czarnym Plutonem i lotnym Pindarem,

W trzech pomarańczach musisz zakochać się czarem» —

woła odchodząc, a królewicz, szalony z miłości, wybiera się na ich szukanie. Prosi króla o siednmiolowe buty, a gdy ten go reflektuje, rzuca się nań z mieczem, jak w jednej komedji Chiariego: oto owoc modnego wychowania. Tartaglia i Truffaldino podróżują w powietrzu: Djabeł ich niesie podmuchem, jak błędnych rycerzy Chiariego. Mimo smoki, duchy i strachy, zdobywają trzy pomarańcze, uwięzione w pałacu olbrzymki Kreonty; ona desperuje, jak bohaterki tragiczne, wreszcie pada, rażona piorunem.

<sup>1</sup> Poeta Martello (1665—1727) próbował nieszczęśliwie przystosować rytm aleksandrynu do poezji włoskiej. W zasadzie jest to możliwe, ale potrzebny jest ku temu genjusz Carducciego.



Morgana gotuje nowe zasadzki, znów udaremnione; tymczasem królewicz, palony pragnieniem, rozkrawa jedną pomarańczę; wychodzi z niej piękna panna, równie spragniona, i deklamuje stylem opery:

Daj mi pić, ja nieszczęsna... skarbie mój... konam... Boże...  
Umieram! okrutniku... prędeży... któż mi pomoże?

Truffaldino, chcąc jej dać pić, przekrawa drugą; obie padają martwe. Tymczasem Celio certuje się z Morganą:

Celio. Najprzewrotniejsza czarownico! Poznałem wszystkie twoje oszustwa. Ale Pluto mię wesprze. Strzygo bezczelna, strzygo przekłeta!

Morgana. Co gadasz, magu, szarlatanie? Nie drażnij, bo cię wytłukę wierszami martelljańskimi.

Celio. Ty zuchwała strzygo, oddam ci pięknem za nadobne, równie martelljanami (parodja adwokata Goldoniego):

Tu będą uważane za marne i bezplodne,  
Nieesencjonalne, z ustawami niezgodne,  
Niezagwarantowane i złośliwe omamy,  
Z wszystkimi aneksami sztuki więdźmy Morgany,  
Wszystko najoczywiście tu się wypośrodkuje,  
Osądzi, zwYROkuje, w kasacji wyklaruje.

Morgana. Och, liche wiersze! Teraz moja kolej, magu, nieponiu (parodja stylu pindarczyka Chiariego):

Wprzód pierwsze złote błyski Feba na niebie bładem  
Zmienia się w olów marny, a wschód stanie zapadem,  
Nieprzezroczysty księżyc wprzód piękne zmieni rogi  
I przestwory eteru gwiazdom ustąpią z drogi;

Pomrukujące rzeki na marmurowym stoku  
Wyjadą na Pegazie i siędą na obłoku,  
Nim tu, słuگو Plutona, czy w dzióbie, czy w kadłubie,  
Mego drewna złośliwość otworu nie wydlubie...

Wreszcie trzecia pomarańcza wykrywa się córką króla Antypodów, Ninnetą; kończy się «bajka» ukaraniem intrygantów i weselem.

(Carlo Gozzi, *Le fiabe*, vol. I. *L'amore delle tre melarance*, ed Ciampoli, Carabba Editore, Lanciano s. d.)

## PIETRO METASTASIO

(1698—1782)

### DIDO OPUSZCZONA

Akt III, s. c. 18

Dido, Selene jej siostra, Ormidas konfident.

Ormidas: Zdaj się, Jarbie, Didono!

Selene: Swoje i nasze razem ratuj życie!

Dido: Li tylko, by wziąć pomstę

Nad zdrajcą Eneaszem,

Pierwszą mej doli nieszczęsnej przyczyną,

Chciałabym jeszcze tchnąć ziemskim oddechem.

Niechże przynajmniej wichry, niech bogowie

Za krzywdę moją srodze go ukarzą:

Gromy i błyskawice,

Nawalne huragany

Olśnią i morskie zatopią go piany,

Niech się samotny tula, a los jego,

- Choć nadmiar bólu pełen i srogości,  
Niech jeszcze nędzy mojej pozazdrości.
- Selene: Ach, złagodź gniewy. Ja też go miluję  
I cierpię męki.
- Dido: Kochasz Eneasza?
- Selene: Tak, lecz przez ciebie...
- Dido: Ach, ty niegodziwa!  
Ty mą rywalką?...
- Selene: Jeżeli nią byłam,  
Nie masz powodu dzisiaj...
- Dido: Precz z mych oczu!  
Nie powiększaj cierpienia,  
Co mi piersi ugniata.
- Selene: Nieszczęsna zginie — już ją dzierżą fata! (*wychodzi*).

## Scena 19

- Ormidas: Rośnie płomienny stos. Ty się nie cofasz?
- Dido: Czy niedość wrogów? Eneasza porzuca,  
Selene jest mą rywalką, o wstydział!  
Jarba bezcześci, mam wroga w Ormidzie.  
W czym wina moja? O wy, nieczne bogi!  
Ofiar nieczystych na ołtarzach waszych  
Nie składałam, ni ogniem  
Płochym świętości uwłaczałam waszej,  
Dłaczego więc wywlekło  
Taką złość na mnie i niebo, i piekło?
- Ormidas: Ach, myśl o sobie, nie obrażaj bogów!
- Dido: Bogów? Próżne imiona!  
Senne widziadła, krzywdzicielskie mary!
- Ormidas: Cierpnę od grozy. Słuchać — godne kary (*odchodzi*).

## Scena ostatnia

(*część pałacu pada w gruzy*)

- Dido: Coś rzekł, nieszczęsny! Do jakichże granic  
Doprowadziło mnie szaleństwo moje?  
O Boże, rośnie strach. Przed śmiercią stoję.  
Zagłęda w oczy, do mózgu się wkrada,  
Drży ziemia, zamku wstrząśniona posada,  
Selene, Ormid społem  
Odeszli; los mię z wszystkiego ograbił;  
Nikt, by ratował, nikt, żeby mię zabił.  
Uciec? Dokąd? Wie Bóg!  
Zostać, a potem cóż?  
Więc śmierci, tu mię złóż,  
Na doczesności próg.  
Czyliż tak nikła jest moja odwaga?  
Nie, umrzeć trzeba. A jego niech smaga  
Nieszczęście; los mój srogi  
Niechaj złą wróżbą będzie jego drogi.  
Kartago, padaj w gruzy!  
Pałac niech zgore, a jego popiołem  
Niech się zasypie miasto — ze mną społem.

(*Wstępuje na stos i ginie w płomieniach. Morze miota się na wybrzeżu, powietrze huczy przeokropną symfonią.*)

(*Opere di P. Metastasio, ed. Nicolini w zbiorze Scrittori d'Italia, 1912—14.*)

## GIUSEPPE PARINI

(1729—1799)

## DZIEŃ

Temat układa się w kształty akcji, rozdzielonej na cztery pory dnia; bohaterem jest młody magnat, mający przy sobie jakby Mefistofelesową figurę mistrza i kierownika. Jest nim sam poeta, by się tak wyrazić — w negatywie, a ta transpozycja ironiczna nadaje poematowi charakter w literaturze jedynej. Koło nich roi się tłum figur pobocznych: więc naprzód mąż dostojny i obojętny na załotników, piękna pani z rodu «précieuses»; cudzoziemiec znakomitego nazwiska, wzór i bożyszcze tuziemców; pasorzyt domowy; gość-żarłok; gość-deklamator; banda złotej młodzieży; piastunka-pedagog; nauczyciel tańca, muzyki, szermierki, francuszczyzny; krawiec, perukarz, kucharz, laufer, paź, stary pokojowiec do «poufnych zleceń», legjon służby, wreszcie nieostatnia w godności suzka pani domu.

Młody panie, bądź w tobie koleją  
Długą dostojnych łądzi krew się toczy  
Błękitna, czysta; bądź w niej poprawiają  
Rodowej chwały brak — kupne zaszczyty  
I pozgarniane pośród mórz i łądów  
W czas kilku lustrów bogactwa rodzica,  
Słuchaj mię, mistrza lubego obrzędu.  
Jak oszukiwać nudne i powolne

Życia godziny, którym długie wczasy  
I towarzyszą przykre zniechęcenia,  
Ja cię pouczę. Więc jakie z poranku,  
Jakie z południa i jakie z wieczora  
Będą zajęcia twoje — tu się dowiesz,  
Jeśli wśród wczasów twoich na słuchanie  
Mej pieśni chwila zostanie ci wczasu.

Po tej ironicznej przygrywce, w mistrzowskim kontraście kreśli dwa poranki: pierwszy poranek wieśniaka:

Budzi się ranek i społem z jutrzeńką  
Kroczy przed słońcem, które się wnet jawi  
Na widnokręgu, duże — i weseli  
Zwierzęta, ziola i role, i wody.  
Zaczem powstaje dobry wieśniak z łoża...  
Potem wyniósłszy poświęcone jarzmo,

Pierwszy Cerery ludziom podarunek,  
Z powolnym wołem wychodzi na pole;  
Idąc, z gałązek krzywych trzęsie rosę,  
Gdzie jak w brylancie słońce blaski łamie.  
Powstaje kowal i skrzypiące wrota  
Kuźni otwiera...

— «Ach, nie takie, panie, twoje rano!» — wola i opowiada niedbale, powolne podnoszenie się modnego młodzieńca:

Już dawno służba usłyszała dźwięki  
Metalu, który pośredniczym ruchem,  
Ściągnawszy ramię, wstrzymałeś zdaleka;  
Biegli obrotne rozsunać kotary,  
Surowo dbając, aby dokuczliwy

Feb nie śmiał prosto w twarz ci postać strzały.  
Podnieś się nieco, oprzyj na poduszkach,  
Które łagodną rosnąc piramidą,  
Miękkie ramieniu podadzą oparcie...

(G. Parini, *Tutte le opere*, ed. Mazzoni, Firenze 1925.)

## VITTORIO ALFIERI

(1749—1803)

## TRAGEDJA FILIP II

## Akt IV, sc. 2

Straż z bronią i pochodniami. Filip, D. Carlos.

D. Carlos:

O nieba!

Ojciec, a przed nim szpady i pochodnie!

Filip:

Nocą sam? I w tych komnatach? I zbrojny?

Co robisz i co zamierzasz? Osłrożne

Kroki gdzie niesiesz? Powiadaj!

D. Carlos:

Cóż powiem?

Broń tę porwałem na widok zuchwałych

Zbirów, lecz w ojca obliczu ją rzucam,

- Ty ich przywódcą jesteś? Ty, mój ojciec?  
Mną rozporządzaj dowoli; lecz powiedz:  
Pozoru trzeba ci było — i poco?  
Ojczy, niegodne króla są pozory,  
Jak mnie niegodne usprawiedliwienie.
- Filip: Czelność w dodatku? To słuszna, bo dzisiaj  
Czelność jest śmiałą towarzyszką zbrodni,  
Podłą osłoną kłamnego szacunku.  
Kryj duszę zdrađną, ambitną, krwi chciwą.  
Już tu nie tłumacz się; otwórz upusty  
Dla pełnych zdrojów swojej zaciekłości,  
Niechże wytryśnie jad w sereu zebrany,  
Odważnie swoje zdrađzieckie zamysły,  
Tak godne ciebie, wielkoduszny, wyznaj!
- D. Carlos: Cóż ja mam wyznać? Oszczędź, ojczy, proszę,  
Daremnym obelg; najsurowszą karę  
Wyznacz; gdy miła tobie — będzie słuszna.
- Filip: W nieźrzałych latach, w jakiejże to szkole  
Nabyłeś takiej skrajnej przewrotności?  
Gdzieś się nauczył tej bezecnej sztuki,  
Że zaskoczony przez ojca na zbrodni  
Nawet nie mienisz barwy?
- D. Carlos: Gdziem się uczył?  
Pod twem ojcostwem.
- Filip: Tak, synem mi jesteś,  
Na me nieszczęście i wstyd.
- D. Carlos: By je zetrzeć,  
Na cóż tu zwlekasz? Wszak cię uszczęśliwi  
W pełni przelanie krwi własnego syna.
- Filip: Ty moim synem?
- D. Carlos: Cóż zrobiłem?
- Filip: Pytasz?  
Mnie pytasz? Czyliż żaden cię nie siecze  
Wyrzut sumienia? Od dłuższego czasu  
Znać go przestałeś. Jeden wyrzut czujesz:  
Żeś nie popełnił dotąd ojcobójstwa!
- D. Carlos: Ojcobójstwa? Ja mam być ojcobójcą?  
Nie, w to nie wierzysz sam. Jakież dowody?  
Wskazówka, domysł?
- Filip: I jedno, i drugie  
W tej bladej twarzy za pewność się liczy.
- D. Carlos: Nie zapędzaj mię, ojczy, ku tej strasznej  
Granicy, jaką wyznaczyło prawo,  
Niebo, natura, między ojcem-królem  
A synem, władzy królewskiej poddanym.
- Filip: Ty świętokradczą stopą je zdeptałeś  
Dawno, co mówię, nie znałeś ich nigdy.  
Surowej cnoty dostojne uczucia  
Precz odrzuć, bo ci z niemi nie do twarzy,  
A raczej ukaż mi się, jakim jesteś,  
Odkryj knowania i już do wybuchu  
Gotową zdrađę. Nuże, na co czekasz?  
Czyżbym ja zmalal przed twoją lichotą?  
Jeżeli wyznasz, nie nie skryjesz — ufaj;  
Jeśli zataisz — drzyj!



twą radością; a póki widziałem cię piękną i dobroczynną, mówiłaś do mnie głosem boskim: Żyj! Ale ogarnięty rozpaczą, widziałem później dłonie twe czerwone od krwi; zapach twego kwiecia sączył we mnie truciznę; gorzko smakowały twe owoce. Zjawiałaś mi się pożerająca własne dzieci, zwabione ku cierpieniu twą urodą i hojnością twych darów...

Będęż więc niewdzięczny? Będęż włókl żywot w patrzeniu na twe okrucieństwo i w przeklinaniu? Nie, nie... Dziś patrzę na ciebie i wzdycham, ale cię wielbię jeszcze przez pamięć słodczy, jakich od ciebie doznałem, dzięki pewności, że nie potrzebuję już obawiać się ciebie i że cię utracę. Ani nie sędzę, abym buntował się przeciw tobie, uciekając od życia. Życie i śmierć są narówni twym przywilejem; owszem, jedną drogą wiedziesz ku urodzinom, a stem dróg ku śmierci... Nie uszczuplam się w niczem, co mi dałaś. Ciało moje, twa drobna cząsteczka, będzie zawsze złączone z tobą, w odmiennej formie. Duch mój, jeżeli umrze ze mną, odmieni się ze mną, w nieskończonej masie istnieć, a jeżeli jest nieśmiertelny, treść jego zostanie nienaruszona.

25 marca, 1799 r.

...Wracam do ciebie, moja Tereso. Jeżeli za życia słuchać mię było grzechem, słuchaj mię teraz, w tych niewielu godzinach, jakie mię dzieli od śmierci; wszystkie poświęciłem tobie samej. Otrzymasz ten list, kiedy już będę leżał w grobie, a od tej chwili wszyscy może zaczną zapominać o mnie, aż zapomną nawet mego imienia. Słuchaj mię, jak głosu idącego z trumny. Będziesz płakała moich dni, rozwianych jak noce widzenie; będziesz płakała miłości naszej, bezużytecznej i smętnej, jak gromnice, oświecające mary umarłych... Kochałem. Ty sama przynosiłaś mi szczęśliwość: wypiększałaś ją promieniami bezmiernego blasku, urobiłaś we mnie serce, zdolne jej odczuwania, ale po dniach nadziei utraciłem wszystko; więc bezużyteczny drugim, zgubny sobie, uwolniłem się od pewności nieustannej nędzy żywota.

...Pociesz się, Tereso; ten Bóg, do którego uciekasz się w modlitwach, tak żarliwych, jeżeli raczy dbać o życie tak nędznej istoty, nie uchyli swego spojrzenia nawet ode mnie. On wie, że dłużej wytrwać nie zdołam; On widział walki, jakie staczałem, nim doszedłem do fatalnego postanowienia; On słyszał modły, jakimi błagałem, by oddalił ode mnie kielich goryczy. Żegnaj więc! — Żegnaj, wszechświecie! Przyjaciółko moja! Czy źródło łez jeszcze we mnie nie wyschło? Zaczynam znów płakać i drzeć, nie na długó; za chwilę wszystko będzie zniszczone...

(*Ugo Foscolo, Ultime lettere de Jacopo Ortis, Sonzogno, Milano s. d.*)

## GIACOMO LEOPARDI

(1798—1837)

### DO ITALJI

Ojczyzno moja! Widzę mury, luki,  
Widzę kolumny, posągi i wieże  
Samotne dziadów naszych,  
Lecz próżno szukam, gdzie laur i panczerze,  
Co ich stroiły. Dzisiaj rozstrojoną  
Z lauru skroń nosisz i odkryte łono;  
Ha! jakiż widok krwawy!  
Ile łez, potu!... Tak-że, piękna pani,  
Tak-że cię widzę? W niebo ręce wznoszę,  
Ziemi pytając, proszę:  
Kto ją ku temu przywiódł? I to boli,  
Że łańcuchami ma skute ramiona...  
Tak bez zasłony, z włosy rozdartemi,  
W mdłym opuszczeniu usiadła na ziemi,  
Skloniła na kolana

Twarz swą i płacze...  
 Płacz, bo masz czego, Italjo, przez losy  
 Na zwycięstwa wskazana,  
 Czyli cię pieczęcią, czy zadają ciosy.

Choćby twe oczy były dwie krynice  
 Żywe, nie mógłby płacz twój  
 Wyrównać nędzy twej i pohambieniu;  
 Ty, pani, wzięła dziś na niewolnicę!  
 Kto cię wspomni? kto, wążąc  
 Dawną twą wielkość, nie rzecze w zdumieniu,  
 Wszak była wielką, przecz nią być przestała?  
 Przez cóż-że, przez co? Gdzie twa dawna chwala  
 I moc prastara, i hardość, i bronie?  
 Gdzie wróg, co miecz ci strzaskał,  
 Albo kto-ć zdrajcą był? Gdzie kunszt orężny,  
 Gdzie taki gwałt potężny,  
 Co z szat twe barki, z wieńca odarł skronie?  
 Jak upadłaś i kiedy  
 Z takiej wyżyny w tak głęboką nicość?  
 Nikt-że nie pomści Cię, nikt nie osłoni  
 Z pośród twych dzieci?.. Hej, broni tu, bronii!  
 Sam ja bój stoczę, sam nadstawię ciała.  
 Dajcie, niebioso, proszę, by krew moja  
 Zniczem dla piersi italskich się stała.

Gdzie twoje dzieci? Słyszę broni szczęki,  
 Turkoty wozów, huk bębnow, trąb jęki;  
 Gdzieś na obce dziedziny  
 Wiodą boje twe syny.  
 Słyszysz, Italjo, słyszysz? Co się toczy,  
 Niby wezbrane fale, ludzi, koni.  
 W tumanach kurzu lśnią pobłyski bronii,  
 Jak gwiazdy w chmurach,  
 I nie pocieszasz się? i drżące oczy  
 Spuszczasz, na koniec zalekła niepewny.  
 Za cóż tam wiedzie boje  
 Italska młodzież...? O bogi, o bogii!  
 Kruszą się za kraj obcy nasze zbroje.  
 Nieszczęsny, komu trzeba w walk zagubę  
 Iść nie za żonę, nie za dzieci lube,  
 Nie za swe brzegi, lecz za brzegi cudze.  
 Bić się wrogom w usłudze,  
 Zwalczać i nie móc westchnąć przy skonaniu:  
 O, kraju mój rodzinny,  
 Oto-ć oddaję życie, com ci winny.

Szczęśne i drogie, i błogosławione  
 Wieki, gdy to biegały  
 W bój za ojczyznę wojska, naród cały.  
 Wy, szanowane zawsze i sławione  
 Tesalskie nieśmiertelne  
 Błonia, gdzie Persja i los nie starczyły  
 Na duchy, liczbą szczupłe, siłą dzielne.  
 A wasze bory i wody, i skały  
 Dziś jeszcze muszą podróżnym powiadać

Tajemniczemi szepty,  
Jak wzdłuż morskiego wybrzeża leżały  
Niezwalczonych pokosy  
Ciał, co za Grecję poszły życie stradać.  
Jak barbarzyńców trzody  
Przyszłym się wiekom pośmiewiskiem stając,  
Za Hellespontu uciekały wody,  
A na antolskie wzgórze, gdzie, konając,  
Śmierć samą święte zwyciężyło plemię,  
Symonides krok zwraca,  
Patrzy na niebo i morze, i ziemię.

Łzę ma zroszone lica palające,  
Pierś mu faluje, wzruszeniem drży noga  
I lirę w dłonie chwytą:  
O, wy wiecznie szczęśliwi,  
Coście podali pierś na włócznie wroga,  
Za ziemię, gdzie wam pierwsze błysto słońce,  
Których czi Grecja, którym świat się dziwi.  
Czyjaż na bój i zgubę  
Miłość was wiodła? Dusze młodociane,  
Jakaż widziały w czarnym losie chlubę?  
Przez się wam lubą zdała,  
Dzieci, ostatnia chwila, że z uśmiechem  
Garstka was w wawóz okropny bieżała,  
Jakby nie na śmierć, lecz na taniec dziarski.  
A tam was belt tatarski,  
Martwa czekała woda.  
Na nagim brzegu głowy wam nie wsparli  
Ni syn, ni żona młoda,  
Gdyście bez płaczu, bez uścisku marli.

Lecz marli w Persów straszliwym pogromie  
I nieśmiertelnej trwodze.  
Jak lew, gdy wpadnie na gromadę byków,  
Jednemu na kark skacze i lakomie  
Kłami się wpija;  
Drugiemu szponem bok rozdziera srodze:  
Tak pośród perskich miotały się szyków  
Gniew greckich piersi i rycerskie cnoty. —  
Widziałem jeźdźców pobitych i konie,  
I wozy, i namioty  
Spłoszonej rzeszy, stojące zawadą;  
I jak ku morskiej stronie  
Biegł pierwszy król, ów wściekły, z twarzą bladą,  
A przesiąkli, zbroczeni  
Krwią barbarzyńców greccy bohaterzy,  
Sprawcy bezdennej wojsk perskich sromoty,  
Przyparci wkońcu masą dzikiej roty,  
Jedni na drugich padli, ale przecie  
Żyją błogosławieni,  
Póki się śpiewa i pisze na świecie.

Prędzej wydarte z nieba, wpadłszy w morze,  
Zasyczą gwiazdy gasnące w głębinie,  
Niżeli zaszczyt wieczny



I pamięć o was zginie.  
 Grób wasz ołtarzem będzie: tu niewiasty,  
 Przychodząc, dzieciom będą ukazować  
 Ślady krwi waszej; tu ja się położę,  
 O, moi święci, i będę całować  
 Ten oto głaz, murawę,  
 Co od krańca do krańca  
 Ziemi przywodzi w pamięć waszą sławę.  
 Gdybym tam z wami był gdyby i moją  
 Krwią święta matka ziemia zwilgotniała!  
 Lecz skoro wzbrania mi losów zesłanie,  
 Abym za Grecję zemdlale powieki  
 Zamknął gdzieś na majdanie,  
 Niechaj z Bożej opieki  
 Przetrwa czcigodnej sławy panowanie  
 Krainy waszej wieszczą  
 Na przyszłe wieki, póki waszej stanie.

(Giacomo Leopardi, *Canti*, ed. Donati, Bari, Laterza 1917.)

### NIESKOŃCZONOŚĆ

Lubiłem zawsze to samotne wzgórze  
 I ten drzew szpaler, co nie daje oczom  
 W widnokręgowym utonąć lazurze.  
 Kiedy tam siedzę i dumam, duch tworzy  
 Świat nowy: pustych, milczących przestworzy,  
 I marzy ową uroczystą ciszę,  
 Gdzie nic nie wstrząśnie serca. A gdy słyszę  
 Wdole huczący wiatr, tę nieskończoną  
 Cichość i ten głos, a potem ich sprzeczność,  
 Myślą rozważam i czuję w nich wieczność,  
 Epokę zmarłą dawno i minioną,  
 I terażniejszość, w której tętni życie.  
 Tak w nieskończoność myśli moje toną  
 — I słodkie mi jest w tem morzu rozbicie.

### MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

Pieszczochy bogów — umierają młodzi.  
*Menander.*

<p>W jeden dzień siostry z losu się poczęły,          Miłość i śmierć.          Obie tak cudnej twarzy,          Że o piękniejszych światau się nie marzy.          W jednej wieczne się dobro,          Najwyższa rozkosz mieści,          Druga wszystkie boleści,          Mozół nieszczęść uśmierza.          W trop dziewczeczki uroczej,          Tak pięknej, że nią warto napaść oczy,          Młody Amor — jak młodzi,          Rad i często zachodzi,          I oblatują razem ziemskie niwy,          Obie pociechy serc wypróbowanych.          Wypróbowanych niema serc, jak które          Miłosna krwawi rana;</p>	<p>Ni śmielszych żywot strząsnąć nieszczęśliwy,          Ni dla innego pana          Iść, niż dla tego, skorszych na stracenie.          Komu miłość pomaga,          W tym się wnet budzi i krzepi odwaga;          A nie w myśli, lecz w czynie,          Mądry i świadom wszystkich ziemskich          Staje się ród człowieczy. [rzeczy,          Gdy czasu życia wiosny          W serca głębi się zrodzi          Czuły afekt miłosny,          Razem z nim smutno, ociężale schodzi          Na pierś śmierci zachcenie.          Jak — nie wiem; ale silnej          Miłości to jest pierwsze wyjawienie.          Może się oczom brzydzi</p>
---	---

Ziemskie pustkowie; a może też widzi  
 Człowiek, że już nie zdola  
 Bez tej jedynej, nowej, nieskończonej,  
 W rozkołysaniu myśli wymarzonej  
 Rozkoszy żyć na świecicie?  
 Może w przeczuciu burzy  
 Serce spokoju woła,  
 Prędkiej do portu schronićby się chciało  
 Przed żądz nawałą,  
 Co huczy nad nim już i grozę wróży?  
 A choć już się przeloczy  
 Orkanu moc straszliwa,  
 Jeszcze się bólem pierś osłabła mroczy.  
 Ileż razy przyzywa  
 Śmierć biedny kochanek!  
 Nie jeden wieczór, ranek,  
 Kiedy ku brzaskom zwiędłe ciało ślania,  
 Jakby się czuł szczęśliwy,  
 Wiedząc, że jutro nie wstanie z posłania  
 I nigdy zorzy nie obaczy złotej!  
 I często na głos żałobnego dzwonu,  
 Na głos śpiewu, co święci  
 Pochód na wiecznej miejsce niepamięci,  
 Jakże serdecznie wdychając zazdrości  
 Litościwego skonu  
 Temu, co idzie spać śród martwe kości.  
 A czyto człowiek z gminu,  
 Nieświadom mocy, co z wiedzy wypływa,  
 Czyto dziewczeczka płocha i wstydliva,  
 Której na wzmiankę truny  
 Na głowie włos się jeży,  
 Śmie na grób i na śmiertelne całuny  
 Patrząc i okiem spokojnie je mierzy,  
 O truciźnie, sztylcecie  
 Myśli w długiej zadumie  
 I duszą jeszcze dziecię  
 Już całą śmierci łaskawość rozumie.  
 Tak do śmierci kochania  
 Miłość nakłania, a często z tej wdzięcznej  
 Uciechy taki wstaje ból wewnętrzny,  
 Że pada, bo sił nie ma, by wstrzymało  
 Człowiecze kruche ciało  
 Upornym ciosom — i tak Śmierć zwycięża,  
 Bratnią poparta władzą.

To znów się Miłość tak w wnętrzu rozpręza,  
 Że często wiejskie, nieuczzone chłopię,  
 Lub łagodna dziewica,  
 Własną gwałtowną ręką  
 Młodemu ciału grób przedwczesny kopie.  
 Świat się z ich męki śmieje,  
 Z wygody czerpiąc starości nadzieję.

Duchom dzielnym, ognistym,  
 Duchom tkliwym, a czystym,  
 Niech się dostanie jedno z was w udziale.  
 Mistrze wy, przyjaciele  
 Wierni ludzkiego rodu,  
 Których przewagi żadna nie dosięga  
 Moc w świecie, ni mu ułatwia pochodu,  
 Jak druga jeszcze, przeznaczęń potęga.  
 A ty, którą ja z młodu pelen cześci  
 Nieustannie wzywałem,  
 Piękna, litosna śmierci,  
 Co jedna ziemskie uśmierzasz bolesti:  
 Jeślim cię słauił kiedy  
 I twą boskość za podłej  
 I za niewdzięcznej przekleństwa czeredy  
 Kornie przebłagać chciałem,  
 Pokwap się skłonić ucho  
 Na powtarzane modły:  
 Przed światem, co mię rani,  
 Przymknij te smutne oczy, wieków pani!  
 Znajdziesz mię zawsze, o której bądź porze,  
 Skrzydła rozwijwszy na me prośby korne,  
 Zlecisz wzniesionym przeciw przeznaczeniu,  
 Co siekąc, rąk swych nie przestaje walać  
 W źródle krwi mej niewinnej,  
 Ni go będę wychwalać,  
 Ni dziękczynić w pokorze  
 Podłej, jak niegdyś lud strachem dziecinny.  
 Nigdy nadzieja próżna, która krzepi  
 Świat ten i świata tego trwożne dzieci,  
 Pocieszać mię nie zleci,  
 Ni się mi głupia hardej myśli czepi.  
 Ciebie jednej i owej  
 Pory czekam majowej,  
 Gdy mi dasz głowę pochylić uśpioną  
 Na twe dziewicze łono.

(Giacomo Leopardi, *Canti*, ed. Donati, Bari, Laterza 1917. Porów. Wybór pism wierszem i prozą w przekładzie Edwarda Porębowicza. Warszawa 1887.)

## ALESSANDRO MANZONI

(1785—1873)

### NARZECZENI

... Młodzieniec zawahał się, czy nie zawrócić, nie przycisnąć proboszcza do muru, nie zażądać dokładnych wyjaśnień; lecz, podniósłszy wzrok, ujrzał przed sobą Perpetuę, która wchodziła właśnie do ogródka, leżącego opodal domu. Zawołał, gdy otwie-

rala furtkę, przyspieszył kroku, dopędził ją i zatrzymał na progu, nawiązując rozmowę, aby dowiedzieć się czegoś pewnego.

«Dzień dobry, Perpetuo, myślałem, że będziemy dziś razem weseli».

«Ha! wola Boża, biedny mój Renzo».

«Proszę was, Perpetuo, nasz zacny ksiądz proboszcz tyłoma dziwami nabił mi głowę, że nie mogłem zrozumieć; wytłumacz mi lepiej, dlaczego on nie chce, czy nie może pożenić nas dziś».

«O! — czyż myślisz, że znam tajemnice mojego pana?»

«Mówiłem, że tu jest jakaś tajemnica» — pomyślał Renzo — i, aby wyjaśnić ją, pytał dalej: «Żywo, Perpetuo; jesteście przyjacielmi; powiedzcież, co wiecie, pomóżcie biednemu chłopcu».

«Źle jest urodzić się biednym, mój drogi Renzo».

«Prawda» — odrzekł chłopiec, upewniając się w swych podejrzeniach; i chcąc dotrzeć do sedna rzeczy, dalej pytał: «Ale czyż to księża mają źle traktować ubogich?»

«Słuchaj, Renzo — nic powiedzieć nie mogę, bo... nic nie wiem; lecz mogę ci zaręczyć, że mój pan nie chce skrzywdzić was, ani nikogo, i nie jego to wina».

«Czyżaj więc wina» — spytał Renzo napozór obojętnie, lecz nastawiając uszu z partym oddechem.

«Skoro powiadam, że nic nie wiem! Mogę bronić mego pana, gdyż boli mnie, kiedy słyszę, że ktoś oskarża go o umyślne wyrządzenie przykrości. Biedny człowiek! Jeżeli grzeszy, to nadmiarem dobroci. To tylko ta banda lajdaków, zbójów, ludzi bez bojaźni Bożej...»

«Łajdaki... zbójce...» — myślał Renzo — «więc to nie władze! — Prędzej» — rzekł, kryjąc z trudem wzrastający niepokój — «mówcie prędzej, kto to taki».

«Och! — chcesz bym powiedziała, a ja nie mogę, gdyż... nic nie wiem; a skoro nic nie wiem, to tak, jakbym przysięgła milczeć. Możesz wziąć mię na męki, a słowa nie pisnę». — To mówiąc, weszła szybko do ogrodu i zatrzaskała furtkę.

Renzo, skłoniwszy się jej, zawrócił powoli, nie chcąc, aby spostrzegła, w jakim pójdzie kierunku, lecz, gdy zniknął z oczu poczciwej kobiety, przyspieszył kroku, za chwilę stanął przed drzwiami don Abbondia; wszedłszy, udał się prosto do salonu, gdzie go był zostawił. Znalazł go tam i dopadł go, rozgorączkowany, z błyszczącymi oczyma.

«Eh, eh — cóż to za nowa moda?» — rzekł don Abbondio.

«Cóż to za zbój» — rzekł Renzo, głosem człowieka, który postanowił otrzymać stanowczą odpowiedź — «cóż to za tyran, który nie pozwala mi ożenić się z Łucją?»

«Co, co, co» — bąkał zaskoczony biedak, a twarz mu pobieleła odrazu i obwisła jak wyprana chusta. I mruczając, wstał prędko z krzesła, aby rzucić się ku wyjściu. Lecz Renzo, który prawdopodobnie spodziewał się tego gestu i dobrze czuł, doskoczył wcześniej, a przekręciwszy klucz, włożył go do kieszeni.

«Ha, ha! — Powiecie teraz» — księżę proboszczu. — «Wszyscy znają moją historję oprócz mnie jednego. Do licha, chcę dowiedzieć się ja także. Jak się tamten nazywa?»

«Renzo, Renzo, na Boga, zważ co czynisz; zważaj na duszę».

«Myślę, że chcę dowiedzieć się zaraz, w tej chwili!» — A mówiąc to, położył, bodaj że bezwiednie, dłoń na rękojeści noża, który wyzierał mu z kieszeni.

«Miłosierdział!» — zawołał słabym głosem don Abbondio.

«Chcę wiedzieć».

«Mówiłem ci, że...»

«Nie, nie, bez łągarstw — mów ksiądz jasno i prędko!»

«Chcesz mojej śmierci?»

«Chcę wiedzieć to, o czym mam prawo wiedzieć!»

«Lecz gdy powiem, pewna śmierć moja. — Wszak mi życie miłe!»

«Dlatego mów!»

Owo «dlatego» zostało wypowiedziane tak silnie, a wygląd Renza był tak groźny, że don Abbondio nie dopuścił myśli o nieposłuszeństwie.

«Przyrzeknij mi, przysięgnij, że nie powtórzysz nikomu, że nie wyjawisz nigdy...»

«Przyrzekam, że zrobię coś, jeżeli mi teraz odrazu ksiądz nie wyjawisz owego nazwiska!»

Na to nowe zakłęcie don Abbondio, z twarzą i wzrokiem człowieka, mającego w ustach obcego cyrulika, jęknął: «Don...»

«Don...» — powtórzył Renzo, jakgdyby chciał pomóc pacjentowi wyrzucić z siebie wszystko do ostatka, i stał pochyłony, z uchem przy ustach tamtego, z napiętymi ramionami, założywszy pięści wtył.

«Don Rodrigo!» — wymówił z pośpiechem więziń, bełkocząc tych kilka sylab. Polykał spółgłoski, częścią z pomieszania, a potrosze dlatego, że, zbierając resztki przytomności, chciał pogodzić obie strony, których się obawiał; zdawało się, że chciał zdusić w sobie słowa w tej samej chwili, kiedy zmuszono go do mówienia.

«Och pies» — ryknął Renzo. — «Jak to zrobił? Co powiedział, aby...»

«Co — jakto co» — odpowiedział prawie pogardliwie don Abbondio, który po tak wielkiem poświęceniu uważał się za rodzaj wierzyciela.

«Jakto było, eh? Chciałbym, aby tobie zdarzyło się to, co spadło na mnie, niewinnego człowieka. — Pewnieby ci nie zostało tyle świerszczy w głowie».

I tu począł jaskrawo małowac owo straszne spotkanie; a mówiac, zdawał sobie coraz jaśniej sprawę z wielkiej złości, jaką miał w sercu, a jaką tłumil dotąd ze strachu; widzial zaś równocześnie, że Renzo stal nieruchomo, schyliwszy głowę, wściekly, lecz zawstydzony. Wobec tego, ciągnął żwawo dalej:

«Pięknie postąpiłeś. Ładną mi oddałeś przysługę! Zachowac się tak wobec grzecznego człowieka, a własnego proboszcza! W jego domu! w świętem miejscu».

«Wielkie bohaterstwo! Aby wydrzeć mi z gardla moje i swoje nieszczęście! To, co ukrywałem roztropnie przed tobą, dla twego dobra!...»

(Aless. Manzoni, *I promessi sposi*, v. 2.)

## WSPÓLCZEŚNI

GIOSUÈ CARDUCCI (ENOTRIO ROMANO)

(1835—1907)

### DO PEWNYCH KRYTYKÓW

Nie, nie ma oczu, jak ta Magdalena  
Mglawych i pełnych wody:  
Nie, olejków nie chowa moja Kamena  
Na zadawnione wrzody.

Ani Chrystusy wy: w każdej przystani  
Brudny duch wasz nierządnie  
Ładaczył się; jeśliście wyszli uszargani,  
Niech w to policja wglądnie.

Lecz oto Fulwja, gdy kształty urocze  
Z miękkich puchów wychyla  
I drzącą ręką wzburzone warkocze  
Poprawia i przyszpila,

Fałd zmiętej sukni gładząc, w całej twarzy  
Różowa i pokryta  
Potem rozkoszy, gdzie się jeszcze żarzy  
Lubieżna Afrodyta.

Fulwja, którejby sama Lais sekretów  
I sztuk przyznała nowość:  
Jakże, powiada, nie cierpię poetów,  
Co nęgują duchowość.

A bufon Mena, któremu rozpiera  
Kadłub wstrętne zepsucie,  
I co z lic wonną rękawiczką ścięra  
Znak po dłoni lub bucie,

Powiada: Lubię ja, pijąc Falerno,  
Polatać w wyższej sferze;  
Czuję się słabo... Ulgę mi niezmierną  
Sprawia myśl o eterze...

I trufflach. Słowo daję, że potrzeba  
Po kapłonie gwiazd paru.  
Otwórz, poeto. Nieba, nieba, nieba,  
Choćbym dostał kataru!

W obliczu nieba wśród czystszych ucieczeń,  
Chłodną rozgrzane żądze,  
Pieśń, to jest wiara! — I przesuwą w kieszeni  
Zrabowane pieniądze.

Oto Pomponjusz, na którego płowe  
Włosy i na zepsutą  
Maściami cerę Pimplea chyli głowę,  
Jak ten pyzaty putto,

Który w kościołach Jezusa z sufitu  
Wychyla się na chmurze,  
Powyzłacanej dla wiernych zachwytu,  
Jak bawelniane róże.

«Amor, amore» — rzy. Świat ideału  
W mleku i miodzie się łączy,  
Żaby, jak ten, zostawią trochę kału  
A trochę żółci — węże.

Cóż tam, że osioł czasem z męki pęknie,  
Lub głód go pchnie do grobu?  
Na giełdzie akcje me tuczą się pięknie,  
A Pegaz mój u żłobu.

Akcje państwowe mam, jestem amantem  
Hrabiny, organ «środką»  
Sprzyja mi stale i zestawia z Dantem:  
Idealizm — rzecz słodka.

Ja znacząc sztukę za ziemskości ślady,  
Co skrzydła niebowiejne  
Rozpędza: zdala Muzy z barykady,  
Gracje petroolejne. —

Tak damy, wieszczce i mędrce z nad gminu  
Odmawiają mi z gestem  
Tragicznej grozy świętego wawrzynu.  
Precz! — czy natrętny jestem?

Wam życie moje: za lat już niewiele  
Ja w mogiłę nieznaną  
Zstąpię: walczyście wy, dziedzice-mściciele,  
Przeciw waszym tyranom.

(G. Carducci, *A certi censori, Jambì et epodi, l. II, XVI.*)

#### HYMN DO RYMU

Witaj, rymie! Ty z pod pióra  
Trubadura  
Wzlatujący szukasz cudu.  
Przez cię w płasie  
Słowa skrzą się  
Zapalone w sercach ludu.

W pocałunków dwu wymianie,  
W skocznym tanie  
Odzywasz się pokolei,  
Łącząc w wirze uniesienia  
Dwa westchnienia:  
Echa wspomnień i nadziei.

Jakże cię na wiatry niosła  
Piers rozrosła,  
Gdy się zachód przetkał złotem  
Rozśpiewanych wdał młodzieńców,  
Pieśnią żeńców,  
Gwarną hukiem i tupotem.

Ja, kiedy wstąpię na pagór stuleci  
Sam, ze zmarszczką na czole,  
Rój strof mię zaraz wokół obleci,  
Niby stado sokole.

A każda strofa ma duszę i skacze  
Po dolinie kaskadą,  
I pędzi, niby rozpętane klacze,  
Pędzi z trąbą i szpadą.

Szpadą — przy ziemi polatując — rąbie  
Olbrzymy i padalce,  
Biesiadnych mężów pobudką na trąbie  
Wzywa ku świętej walce.

Gdy na powietrzu przelecą te żrebce,  
Brzmią skroś dolin od echa  
Kości umarłych; każdy grób kolebce  
Życzliwie się uśmiecha.

A blade chłopię, któremu już łzawy  
Spada na oczy welon,  
Marzy śmierć i grób dla ojczystej sprawy  
Na majdanie uścielon.

Naprzód, hej, naprzód, wy zbrojni wysłańce  
Bujnej siły i wiary!  
Na skrzydłach pieśni na szczęśliwsze szanice  
Śię wam miłość bez miary.

Jakże śród bitewnej wrzawy  
Dawnej sławy  
Wieścią bodleś hart rycerzy,  
Kiedy głośno, twardo, hucznie,  
Tęgie włócznie  
Uderzały w stal puklerzy.

Pod koncerzem Rolandowym,  
Twym surowym  
Graniem brzmiały Roncivalle,  
A Olifant dniem i nocą  
Dźwięków mocą  
Wstrząsał skały, bór i hale.

W grzywę konia zapleciony  
Grasz, jak dzwony  
W Balbiekowych podków szczękę,  
W lot Cydowej chorągiewki  
Romans krewki  
W takt ponosi się u łęku.

Nad Rodanu fale żwawe,  
 Mgieł kurzawę  
 Snujesz pasmy zlocistemi  
 I zwyciężasz pieśń słowików  
 Śród sadów i zagajników  
 Tuluzańskiej cudnej ziemi.

Tobą smętny śpiew wystrzela  
 W czołn Rudela,  
 Miłość zdoła żagl i liny,  
 Gdy na usta konające  
 Z warg gorące  
 Tchną oddechy margrabiny.

Wracaj, wracaj w swe dziedziny,  
 Ton bierz inny!  
 Patrz! Dant zbożny i surowy  
 W piekło zstąpił i do Boga  
 Od ziem proga  
 Z góry uniósł się czyścowej.  
 O ty, piękny słów monarcho,  
 Patryjarecho  
 Łacińskich metrów Ausonji!  
 Buntownik w twe wraca progi,  
 Jeniec wrogi,  
 Dziś wolny, tobie się kłoni.

Przodków trosko i zaszczycie,  
 Tyś me życie,  
 Kocham cię jak ojców chwałę.  
 Witaj rymie. Pleć mi wianki  
 Dla kochanki,  
 A ku zemście daj mi strzałę!

(G. Carducci, *Rime nuove, Poeste, str 539.*)

#### PIEŚŃ PORANNA (w formie rispetta)

Puka w okienko słoneczko znajome:  
 — Obudź się piękna, to jest czas kochania.  
 Niosę ci fiołków pachnących oskome  
 I róż hejnały niosę od zarania.  
 Z królestwa mego na twoje usługi  
 Wiodę ci kwiecień i maj, ręce sługi,  
 I rok młodziutki, by wstrzymał zbyt skory  
 Bieg twojej jasnej i uciesznej pory.

Puka w okienko wiatr i tak powiada:  
 — Zwiedziłem wszystkie góry, lasy, niwy;  
 Myśl świata dzisiaj w jeden chór się składa,  
 Jedną pieśń śpiewa umarły i żywy.  
 Z gniazd pośród lasu leci pieśń miłosna:  
 — Kocham cię, kocham, kocham, wraca wiosna;  
 Tuż okwiecone wołają mogiły:  
 Kochaj mię, kochaj, mój luby, mój miły!

Puka do serca, co jest twym kwietnikiem,  
 Myśl ma; nieśmiało pyta: Czy wejść mogę?  
 Otom ci starym i smutnym pątnikiem,  
 Znużonym; długą zbyt przebyłem drogę. —  
 Pragnąłbym zamknąć w tej kwietnej koronie  
 Sny moje dawne, nigdy niewyśnione;  
 Złożyć w tę kwiecica wiązanek ucieszna  
 Sny moje, co już nigdy mi nie wskrzeszą.

(G. Carducci, *Rime nuove, Mattinata.*)

#### PIEŚŃ ROZPACZNA

Na koniu Śmierci Miłość cwałem goni  
 I wlecze serce zakute w kajdany,  
 Ale buntownik zżyma się i broni,  
 Nie chce podlemu panu być poddany.

Pręży się groźny i więzy rozrywa,  
 A w oczach wola migoce mu mściwa:  
 — Zsiądź z siodła, Miłość, ty tchórzliwy boże:  
 Tyś sługą moim; to ja ciebie tworzę.

Władcą cię miałem w myśli mej obłądnej,  
 Dziś tęższej myśli władza twoja zbrzydła;  
 Mój jest ten czarny Śmierci koń rozpędny,  
 Więc do rąk zdaj mi cugle i wędzidła.

I skacze w siodło, ostrogami kole,  
 Dłonią pozdrawia wszechświatów okole;  
 Pod kopytami rumaka żaloby  
 Dudni skrós ziemia jak cementarne groby.

(G. Carducci, *Disperata.*)

Liczne przekłady Carducciego znajdują się u Miriama (Zenona Przesmyckiego); «Ody barbarzyńskie» w całości przełożyła p. dr. Julja Dickstein-Wieleżyńska.

## GIOVANNI PASCOLI

(1855—1912)

### WYSPA POETÓW

Pociąg wdół pędził. Oczy się mrużyły  
 Pod wiatru świeżem tchnieniem w dali sennej,  
 Wielką słodyczą napawał mi żyły  
 Dech przedjużrzenny.

Poddawała się głowa; w stukach trasy  
 Pociągu dźwięki jedne, wciąż te same,  
 Wdół obsuwały swe miękkie zawiasy  
 Na ócz mych bramę.

Potem stuk cichnął i wsiąkał w powietrze,  
 I nagle, jak fal toczonych na żwiru,  
 Szum się potoczył w jednostajnym metrze  
 Czwórstrunej liry.

Po tamtej stronie snu ktoś opowiadał  
 O dwu syrenach rzucających czary,  
 O wiotkim śpiewie, co go powykradał  
 Wiatr z morskiej czary.

Więc o słonecznym powiadał ostrowie:  
 Pasą się zieleń i skalnym porostem  
 Trzody; pasterki idą przez pustkowie,  
 Olbrzymki wzrostem.

W szerokich chustach; dzwoneczków brzękadła  
 Ustępowały fletni skotopasej;  
 Widziałem smugę dymów, co się kładła  
 Między szalasy.

Zagrodę w kwiatach i letnie południe,  
 I opieszale świerszczyków pacierze,  
 Poszumy ulów i pachnące cudnie  
 Mórz tchnienie świeże.

Głuchemi dźwięki doryckie cymbały  
I lotusowej fujarki przezczysty  
Pogwizd, radośnie w jeden się wiązały  
Pean strzelisty.

Orzeł polata w podniebnym eterze,  
Lśniący od blasku; łup krzywemi szpony  
Dzierży; na ziemię spada plasje pierze,  
Strzęp szcerwieniony.

Wyżej i wyżej nad przełęczą śnieżną  
Etny, zaszyte w gąszcz sosen i buków  
Konary trzeszczą pod czernią drapieżną  
Krzyżących kruków.

Ten krzyk mię zbudził; Sycylji różany  
Obłoczek, piany śródziemnomorskiej córa;  
Pośród niej wsparta o błękitne ściany  
Śnieżysta góra.

Witaj, Sycyljo! Czemkolwiek tu technie się,  
To granie cytry, to fletniane pieśni,  
Śpiewa i mija. Poszedłem tam, gdzie się  
Dochodzi we śnie.

We śnie, gdy wznoszę na wiatr żagiel nowy  
W godzinę mroku, niepewny, czy w gości  
Przyjmie go jutrznia w dwudziestowiekowej  
Lat odległości!

*(G. Pascoli, Odi e Inni, Bologna, Zanichelli l. d.)*

#### KLACZKA SZPAKOWATA

Pod wieżą już milczenie zbiegło na pole,  
Po brzegu słonej wody szumią topole.

Rosłe konie normandzkie, wprzężone w żarna,  
Rozcierają chrupiące pszeniczne ziarna,

W głębi klacz stoi bujna, harda jak burza,  
Chowały ją śród sosen nadmorskie wzgórza.

W nozdrza ją jeszcze słone palą odpryski,  
I drży w sterczących uszach fal chichot bliski.

Mateczka jej oparła łokieć na karku  
I tak w pieścizotliwym szeptala pogwarku:

«O, klaczko ty moja, klaczko szpakowata,  
Ten, co cię niegdyś wodził, odszedł ze świata.

Znałaś jego wołania, gest ręki jego,  
W domu mi pozostawił synka małego.

Ja ośmioro mu dzieci na świat wydałam,  
Ale nad wszystko w świecie jego kochałam.



O klaczko, której w sercu huragan dzwoni,  
Posłusznie ulegałaś tej małej dłoni.

Ty, co nosisz w pamięci morskie loskoty,  
Byłaś powolna słowom jego pieszczoty». —

Klaczka zwracała ku niej wychudłą głowę,  
Mateczka jej prawiała żalości nowe:

«O, ty klaczko moja, klaczko szpakowata,  
Ten, coś go nosiła, nie wróci do świata.

Wiem to, żeś musiała kochać swego pana,  
Jedna śmierć przy nim była, druga ty sama.

Ty, co pamiętasz lasy, pamiętasz morze,  
Musisz też pomnieć jego ostatnią grozę.

Czując pofolgowane w uściech wędzidla,  
Wściągalaś swego lotu porywczę skrzydła.

I powoli, powoli biegłaś przez błonia,  
By się w ciszy spełniła jego agonja».

Długa, wychudła głowa dotknęła skroni  
Mojej drogiej mateczki, co tam lży roni.

«O, klaczko ty moja, klaczko szpakowata,  
Ten, coś go nosiła, nie wróci do świata.

Musiał przecie wyrzec przed śmiercią dwa słowa:  
Pojęłaś, nie powiesz, niezdarna twa mowa.

Z wolna puszczoneym cuglem, co się włócił po ziemi,  
Z oczyma w czerwone mgły zapatrzonemi,

Z uszyna, co slyszą jeszcze strzałów echa,  
Szlakiem topól biegłaś, gdzie domowa strzecha.

Do domu go niosłaś przy skonaniu słońca,  
Abyśmy go mogli oglądać do końca». —

Słuchało bacznie zwierzę dumne i tkliwe:  
Matka je całowała w falistą grzywę.

«O, klaczko ty moja, klaczko szpakowata,  
Przyniosłaś mi tego, który zszedł ze świata.

Przyniosłaś go stamtąd, skąd powrotu niema,  
Uczciwa do końca, cóż — gdy jesteś niema.

Ty mówić nie umiesz, drugi tchórz — nie powie,  
Ale mnie tu będzie dość na jednym słowie.

Uważać musiałaś, skąd kula wypadła,  
Zabójcę odbiły ócz twoich zwierciadła.

Słuchaj: jedno imię, a ty pewnym znakiem  
Wskaż mi, żeś pojęła; Bóg pouczy jakim».

Godzina; już konie nie miażdżą pszenicy,  
Śpią i widzą we śnie szlak mącznej ulicy.

Pustemi kopyty nie depcą już słomy,  
Słyszą, jak się toczy wkoło młyn ruchomy.

W ciszy nocnej matka, grozą zdjęta cała,  
Wyrzekła tylko jedno imię... klacz zarżała.

(G. Pascoli, *Canti di Castelvecchio, Bologna, Zanichelli 1929.*)

### ŚW. JAN

Ze snopkiem kłosów na głowie powraca  
Sługa; w kruczych kędziorach  
Ma żdźbła, ościenie, płatki róży polnej,  
Tak purpurowej jak skrzydła motyle. —  
Kwiatku Oliwy, z memi dziewczątkami  
Wychodź na grusze, spinaj się po wiszni.  
Jutro świętego Jana, więc dla niego  
Pierwsze gruszcзки i wisznie ostatnie.  
Poniesiecie je na plac do Bolonji,  
Przykryte winnej liśćmi jagody. —  
Kwiatku Oliwy, z tobą obie wnuczki.  
Nakop w ogrodzie czosnku i cebuli:  
Kto na święty Jan po wieńcu nie kupi,  
Ziemia mu przez rok nie wyda korzyści.  
Weź majeranu, korzonków pietruszki,  
Dobierz rumianku i kłosek lawendy. —

— — — — —  
Kwiatku Oliwy, bieżaj i powracaj  
Wesoła sercem; kto dożyje jutra,  
Obaczy wielkie Boloniji wieże.  
A śpiewaj: «Po mych barkach falą  
Długie warkocze spływają».  
Jutro święty Jan, święty zakochanych.  
Przed domem siedzą dziewczęta na ławach,  
U stóp ich siedzą kochankowie; brody

Wsparli na łokciach, łokcie na klepisku.  
A oczy patrzą, a serca dygocą,  
A świecą się im w ciemności źrenice.  
Tak pogwarzają; czasem trysną śmiechem.  
Żaby próbują pierwszego rechotu.  
Kwiatek Oliwy siedzi sama, spleta  
Wianuszki ziela, bo nie ma kochanka  
I wiąże naci; przy każdym zaplocie  
Układa główki świeżutkiego czosnku.  
Cieszy się w sercu, bo obaczy wieże.  
A w jednej wieży jest klatka, a w klatce  
Króliewicz — sokół w łańcuchu ze złota.  
Odnóża złote, nawet włos ma złoty. —  
Topole chwieją szczyty wyniosłemi,  
Chochliki na nich wyprawiają harce.  
Puhaćze huczą skryte w dziupli drzewnej,  
A wilkolaki stąpają zdyszane.  
Zaczęło rosić; chwila jest rozłąki.  
Odehoda chłopcy, nie pragną spotkania.  
Mży rosa, niesie z sobą złe i dobre.  
Poszły dziewczęta; sam Kwiatek Oliwy  
Pozostał jeden, w kompanji chochlików  
Rozchichotanych... Smętnie sobie nuci:  
Mój słowiczku gładki,  
Wróćże mi do klatki.

(G. Pascoli, *Canzoni di re Enzo, Bologna, Zanichelli, 1924.*)

### GABRIELE D'ANNUNZIO

(ur. 1863)

#### «MOŻE TAK, MOŻE NIE»

O, Miesiączku, mój Miesiączku,  
Cóżś to dzisiaj wyśniła,  
Cóż mi dasz siostrzyczko miła  
Za to, że ci piosnkę nucę?  
I czym me nagrodzisz trudy?  
Jaki biały senny wid

Sercu twemu przyniósł świt?  
Opowiedz mi twoją bajkę  
Świecącemi nożyczkami:  
Ty, ażebyś przypomniała,  
Ja, abym je z myśli związał

Lunella ruchem głowy całej w kędziorach wtórzyła przygodnej pieśniarce, gdy orzechowe oczy o gęstych rzęsach zachowywały powagę, a uśmiech zaledwie rozchyłał piękne usta, odwinięte jak u Antinousa. Trzymała w ręku arkusz białego kartonu i wykrawała w nim

<sup>1</sup> Enzo, król Sardynji, syn naturalny Fryderyka II, Gibelin, więzień Bolonji (1220—1272 r.).

figury parą cieniutkich nożyczek. Siedziała na okrągłym przymurku, otaczającym dąb patriarchalny w ogrodzie Inghirami, a Vana klęczała na trawie, przesypanej drobnymi żołędziami, wpatrzona w przedziwną robotę. Poza dachem pałacu, poza starymi dachówkami, splamionymi pleśnią, sterczały rdzawe i szare wieże Volterry w upale lipcowym. Blanki strzelnicze haftowały błękit między Tumem a Rokką. — «Śpiewaj mi jeszcze: Wykroję ci kotkę i kocięta» — mówiła dziewczeczka, odczepiając końcem nożyczek figurę wyciętą w kartonie i upuszczając ją na kolana Vany. «Jeżeli nie, to wyrzucę».

O, księżniczko, okrutniczko,  
Ty orliku bez pazurków,  
Ty rozsiewasz ziarno białe,  
Moje będzie krwią nabrzmiałe.  
Gdy ty będziesz jak lilije,  
Ja purpurą się okryję,

Pozbieraj moje piosenki  
Temi dzikimi oczyma  
W widzenia śnieżne, jak zima:  
Ty, żebyś je przypomniała,  
Ja, żebyśmy je z myśli związała.

Vana igrała tak ze swoim cierpieniem upornym i ze swoją siostrzyczką przekorną; klęcząc na trawie, podrzucała niby malinki morwowe w dłoni na grzbiet ręki i znów na dłoń, drobne błyszczące żołędzie, wyluskane z suchych czepeczków.

Koniec nożyczek odrzucał wycięte z profilu drobnutkie obrazki tak dokładne i czyste, że wydawały się nie dziełem pamięci, ale cieniem prawdy.

— «Oh, jakaś ty zręczna!» — wołała Vana, przesuując je w palcach i podziwiając rozrzucone w trawie. Wdzięk młodociany kociąt był zebrany w zarysach i skrótach z dokładnością i śmiałością, godnymi ręki mistrza, właściwymi owym malarzom Dalekiego Wschodu, co cienkim pendzlem na długich zwojach jedwabnej materji tłumaczyli najświeższe ruchy życia zwierzęcego.

«Jeśli mi coś jeszcze zaśpiewasz» — mówiła mała dzikuska, zakładając ostrze swych czarodziejskich nożyczek w brzeg dziewiczej karty — «wytnę dla ciebie złotą kwoczkę z trzynastoma kurczątkami, co to żyje na górze Voltraio, ale nikt jej nigdy nie widział. Jeżeli nie, to nic z tego».

Okrutniczko, okrutniczko,  
Zrób mi skrzydła do latania,  
Abym mogła ująć daleczko  
Z tej Volterry na rozdrożu,  
Od tych szczytów aż ku morzu,  
Lub rzucić na mnie inne czary,

Swemi paluszkami wróżki  
Prowadź na te blade dróżki,  
Którędy chodzą umarli:  
Ty, byś sen swój przypomniała,  
Ja, abym go z myśli związała...

(*Gabriele d'Annunzio, Forse che sì, forse che no, Milano, Treves 1910, l. II. v. 163—166.*)

## MARTWE MIASTO (LA CITTÀ MORTA)

### Akt II, scena 2

#### Pałac w pobliżu Mikeny.

Bianka Maria (prowadząc ślepą Annę ku jednej z urn grobowych, ustawionych na stole): Oto tu są popioły Kassandry, tam są popioły króla.

Anna (cichym głosem): Kassandra! Ona również widziała... Widziała wkoło siebie zawsze nieszczęście i śmierć... (Nachyla się nad urną, bierze garść popiołu i rozciera go w palcach). Jakie wiotkie te popioły. Przesypują się między palcami, niby piasek morski. Czytałaś mi wczoraj, Aleksandrze, co mówiła. Śród tyłu krzyków strasznych odzywało się jakby tchnienie słodkie i smutne. Starzy porównywali ją do «rdzawego słowika». Jak brzmiały, jak brzmiały jej słowa, kiedy przypominała swój piękny strumień? i kiedy Starzy prosili, by im opowiedziała historję miłości boga? Czy nie pamiętasz?

Bianka Maria: Nie słyszał cię, Anno.

Anna: Nie słyszał.

Bianka Maria: Stoć na tarasie.

Anna: Ah, stoć na tarasie.

Bianka Maria: Przygląda się zachodowi. Zachód cudowny. Poza Artemisio całe niebo jest w ogniu. Szczyt Anachrea gore jak pochodnia. Aż tu dochodzi odbłask czerwony. Pada na sprząty złote.

Anna: Zaprowadź mię ku złotu.

Bianka Maria: Oto zewłok Kassandry.

Anna (dotykając się zlekka): Czy jest tu jej maska?

Bianka Maria: Jest tu.

Anna (dotykając): Jakie ogromne usta! Okropny trud odgadywania rozszerzył je. Wydawała krzyki, zaklinała, lamentowała bezustanku. Wyobraźcie sobie usta jej pośród milczenia? jaki pośród milczenia musiał być kształt jej warg bolejących? Jakie zdumienie, kiedy duch pozwala jej odpocząć wśród dwojga krzyków! Chciałabym, żebyście mi dziś powtórzyli dialog między nią a Starymi. Czy nie pamiętacie słów, kiedy opowiada o bogu, co się w niej kochał, i kiedy Starzy zapytują, czy uległa napastnikowi? Jawi się zapłoniona od wstydu, w tym miejscu: «Przyrzekłam» prawda, «przyrzekłam». Czy nie przypominacie sobie tych słów?

Bianka Maria: Nie, Anno; dziś wieczór ci odczytam.

Anna: «Przyrzekłam, ale zawiodłam go» — powiada. Zawiodła boga, a on się zemścił. Nikt odtąd jej nie wierzył. Została sama, na szczycie góry, ze swoją prawdą. (Pauza. Kładzie znów palce na złotym szczątku). Czy i ty kochasz, jak Aleksander, tego «rdzawego słowika»?

Bianka Maria: Los tej męczennicy jest okropny.

Anna: Była bardzo piękna, piękna jak Afrodyte. Leonard widział twarz pod złotą maską. To dziwne. Mnie równie zdaje się, że ją widziałam... Jakiej barwy, sądzisz, były jej oczy?

Bianka Maria: Może czarne.

Anna: Nie były czarne, ale wydawały się czarnemi, bo źrenice, w uniesieniu wieszczem, rozszerzały się tak, że pochłaniały tęczę. Myślę, że w przestankach, kiedy ocierała pianę z białych warg, oczy były słodkie i smutne jak para fiołków. Takie musiały być, nim się zamknęły na zawsze. Przypominasz sobie, Bianco Mario, jej ostatnie słowa? Nie pamiętasz?

Bianka Maria: Wieczór odczytam ci, Anno.

Anna: Jest tam mowa o cieniu, co się przesuwają po wszystkim, i o wilgotnej gąbce, co ściera wszystkie ślady. Nieprawda? «A nad tem» — powiada — «nad tem boleję więcej, niż nad resztą». To są jej ostatnie słowa. (Pauza. Trzyma w ręku złotą wagę). Słyszycie?

Bianka Maria: To sokoły z góry Eubejskiej tak krzyczą.

## MŁODA ITALJA

LUIGI PIRANDELLO

(ur. 1867)

JAK WPRZÓD, LEPIEJ NIŻ WPRZÓD

Akt II

Fulvia (w półświatku Flora) uciekła od męża, pozostawiając 3-letnią córeczkę Livię. Mąż Silvio podał ją za umarłą, pielęgnując w córce fikcję «dobrej matki», tak ukochanej, że corocznie odprawia za nią mszę żałobną. Fulvia wraca po latach 13-tu włóczęgi. Silvio przyjmuje ją i przedstawia jako drugą żonę. Livia domyśla się, że przeszłość tej nieznannej nie musiała być przykładowa, odczuwa do niej wstręt, z czem się nie tai. Tragedja matki, która nie może wyznać prawdy, a mężowi nie przebacza obłudy.

Fulvia.

Powiadam: Traktuj mię raczej jak tę sukę z ulicy, co ci się przyplątała do nóg.

Silvio.

Ładna rzecz!

Fulvia (jakby mówiąc do innej).

Tak, tak. Nie mogąc odtrącić jej od nóg, byłeś zmuszony zabrać ją do domu. Gdyby ona mogła o tem wiedzieć, to może widząc, że mię traktujesz w ten sposób, upodloną, a równocześnie w mej osobie pokorną, posłuszną...

Silvio.

Ależ to niemożliwe!

Fulvia.

Dziękuję, teraz wiem. Uczyniłeś co innego. Czuć tutaj zapach świętości: idzie od tamtej drugiej.

Silvio (mówiąc o córce).

Nie знаła matki. Chciałem, żeby ją miała za świętą, dlatego zwodziłem ją; zdawało mi się, że to będzie rzecz zbożna, nietylko dla niej, ale i dla ciebie.

Fulvia (gwałtownie, hamując się).

Nie powiadaj: dla mnie! Nie powiadaj: dla mnie. Daruj, nie czyniłeś tego dla mnie. Dla siebie to robiłeś, dla uspokojenia sumienia, co cię gryzło. A nie uspokoiłeś go. Sumienia nie uspokaja się nigdy fałszem.

Silvio.

Prosiłem, żebyś nie używała tego wyrazu.

Fulvia.

Daruj. Kazaleś mi umrzeć, a potem mię uświęciłeś; uświętobliwiłeś tutaj wszystko (zatrzymując się i zmieniając jeszcze raz ton mowy). Przypuśćmy, że moja śmierć mogła być dla niej «koniecznym kłamstwem». Ale ona była taka mała. Życie otwarło się jej tu przy tobie. Dorósłszy, byłaby się zapytała o matkę, nieprawdaz? Skoro już chciałeś udawać, czyż nie mogłeś, nie mówiąc wyraźnie, dać jej do zrozumienia, że nie byłeś szczęśliwy w pożyciu?

Silvio.

Ach, tak sądząc po dzisiejszem.

Fulvia.

Byłaby cię kochała bardziej. Nie byłaby oplakiwała niczego.

Silvio.

Ależ trzeba było odgadywać, że tak się stanie! Przebacz! To dziwne. Mówisz, jakbyś była zazdrosna.

Fulvia.

Ach tak, o serce mojej córki.

Silvio.

Ależ pomyśl, że jesteś tą samą.

Fulvia.

Nieprawda, nieprawda. Tą samą! Dotknęłam; odczułam. Jestem umarła, naprawdę umarła. Tu stoję, a jestem umarła. Nie jestem żywa, jak tamta; żywą jest ta dawna matka, nieżyjąca. Chciałabym wziąć ją w ramiona, wstrząsnąć nią, zajrzeć jej głęboko w oczy i powiedzieć: Nie, nie, wierzaj mi kochanie, wierzaj umarłej... Nie mogą umarli szkodzić więcej nikomu, więc po pewnym czasie myśli się o nich tylko dobrze. Ale i śmierć moja droga może być jeno kłamstwem (urywając, wstrząśnięta, z wyrazem prawie szaleństwa) Wiesz, ile razy przychodzi na mnie taka pokusa?

Silvio.

Zlituj się, Fulvio.

Fulvia.

Nie lękaj się. Tyle lat żyła z tobą razem w uwielbieniu owej świętej duszy, że wydałoby się jej zdradą, tak z dnia na dzień. (Pauza). Teraz obudziła się w niej prawdziwa zazdrość, z powodu tamtej umarłej. Musiała w niej obudzić się koniecznie,

ledwie tu weszłam. Ledwie zajęłam miejsce przy tobie, stanął przed nią obraz tej drugiej. Naturalnie. Wyobraziła siebie przedstawicielką tamtej. Chciała zabrać wszystko, co do tamtej należało: meble, wszystko. Musiałam oddać jej to sama. Wydało mi się rzeczą słuszną. Do tego stopnia owo kłamstwo stało się dla wszystkich tutaj rzeczywistością, jedyną rzeczywistością, w jakiej żyje twoja córka.

Powiedziałam: twoja. Widzisz. Nie odczuwam, nie odczuwam jej w rzeczywistości jako swojej. A tobie nie wydaje się to rzeczą nieludzką. Trzeba zabić, zabić to kłamstwo, bo ja żyję, żyję, żyję!

(W zakończeniu Livia dowiaduje się prawdy. Fulvia opuszcza dom, wyzwolona od fałszu, z drugim małym dzieckiem, które będzie kochać w niej prawdziwą matkę.)

Jak w «Sześciu postaciach», jak w «Henryku IV» i innych komediach Pirandella, osoby działające świadomie, czy nieświadomie, posiadają duszę podwójną, lub istnienie podwójne; z tej dwoistości jest ulepiona ich komiczna lub tragiczna maska.

(Luigi Pirandello, *Come prima, meglio di prima, Maschere nude*, vol. II, Firenze 1924.)

## FILIP TOMASZ MARINETTI

(ur. 1876)

### LOT PONAD SERCEM ITALJI

(w oryginale po francusku)

Wstrętna komora, o sześciu ścianach jak trumna.  
Wstrętna ziemia! Glob błotnisty  
U moich ptasich szponów. Chcę ujsć,  
Upoić się lotem!... Monoplan, monoplan!

Przez szczelinę murów gwałtownie rozdartych  
Mój monoplan wielkoskrzydły węszy niebieski strop.  
Przede mną trzask stali  
Kraje światłość, a gorączka w mózgu  
Śruby poryka naokół.  
Zadrzałem, tańcząc na kołach uświadomionych,  
Sieczony wiatrem zachęć oszalałych,  
Podczas gdy w logicznej czerności kajuty  
Mechanicy wstrzymują tylne sprężyny,  
Jak się trzyma lub popuszcza latawca.  
Naprzód, w lot.

Odczuwam potężne szczęście być nakoniec tem,  
Czem jestem:  
Drzewem zbuntowanym, co się wykorzenia  
Wysiłkiem woli i tak wylatuje  
Na rozdzierzanem, szumiącym listowiu,  
Wyrzucając prosto, prosto pod wiatr  
Kłęb swych korzeni — pod wiatr.  
Rozwiewa mi się pierś, jak wyżłobiony lej,  
A wszystek lazur nieba gładki, świeży, nawalny,  
Rozkosznie w nią się wciska.  
Jestem oknem rozwartem, zakochanem w słońcu,  
Leczącem ku niemu.  
Któż zdola powstrzymać dziś  
Okna spragnione chmur  
I pijane balkony,  
Co się oderwą dziś wieczór od starych domów,  
Ażebym w przestrzeń paść?

Odzyskałem mą tęgą odwagę,  
 Odkąd me stopy przyziemne  
 Przystały ssać lęku zachowawczy sok  
 Z gleby ostrożnej.

Wzwyż ku pełnemu niebu. Oto się wspieram  
 Na prawach elastycznych powietrza. Ah!...  
 Zawieszony pionowo nad miastem  
 Z jego swojskim nieładem  
 Domów stojących jak meble służebne.

Wyżej i dalej, poza te mury.  
 Tam sfera krzyżów. Oto się zbliżają  
 Między szeregi cyprysów strażniczych  
 Ogrody mogilne, różem i zielenią  
 Krzyczące; marmury jak chusty rozwiane.  
 Dzisiaj umarli radzi lecieć ze mną.  
 Dziś umarli pijani, umarli weseli.  
 Byłem umarły jak wy — dzisiaj wskrzesłem!...

W przestworzu słona woń — to morze!  
 Niezliczone szeregi kobiet, jak bławaty,  
 Rozpinające gorset. Oto piana  
 Wiotkich nagości, splecionych i chciwych  
 Ostatniego haustu blasku  
 W okrężnem pustkowiu nieba.  
 Ah, śmiać się muszę z was, żaglowce white  
 W piasek, owady wywrócone, próżno  
 Silące się — tak śmiesznie — powstać na nogi!  
 Wyspy pretensjonalne swym płaszczem zielonym,  
 Jesteście w oczach mych płątami kwiecica  
 Bagien, gryzionemi przez otyle muchy.  
 Przelatam nad wami jak wichr  
 I pieszczę różnym ruchem dłoni  
 Niezmierny glob atmosfery,  
 Potworny grzbiet druzgoczącej grozy,  
 Co mię dzieli od morza...

Ah, ah, mroczny afrykański wietrze,  
 Ociężały wietrze, obludnie powolny,  
 Czyhasz na moją rozrywkę?  
 Naco pozorować podstępne zawroty?  
 Ja zażyć cię potrafię,  
 Wzlatam w twych ramionach włóknistych, zawilgłych;  
 Tysiąc metrów niżej czernieje z wściekłości  
 Morze; — wracamy. Czyż ziemia ma swoją woń?...

Lecz skąd ten odór zatęchłej piwnicy?  
 Z trudem rozglądam mapę, schylony nad busolą.  
 Ten miękki zapach grobowy — to Rzym,  
 Moja stolica! Ah! ba, ogromne kretowisko,  
 Stosy papierów gryzionych powoli  
 Zębami szczurów i drzewnych korników.  
 Kopuły! Rozbujających kolosów wydęte brzuchy  
 W oparach fioletowych wieczoru!  
 Z wszystkich tryskają złocone iglice,





Kto spyta: Na co się skarżysz?  
Kto czuje, co mi dolega?  
Chyba ten nędzny towarzysz,  
Ten mój przygodny kolega.

Widzę, łza świeżo wylana  
Wisi ci jeszcze u pyska,  
Ty poszukujesz wciąż pana,  
Jak ja swojskiego ogniska.

Ty idziesz, niemądre zwierzę,  
W trop za mną, bo masz ochotę  
Choćby na smętną wieczerzę,  
Na rozkaz albo pieszczotę.

Widzę, masz minę trefnisia  
I chcesz być moim Medorem,  
Ty, coś się wołał Azorem  
Lub nosił imię Żolisia.

Możesz był pieskiem żebraczym  
Przy katarynce z ulicy,  
Co daje sercom tułaczym  
Sold ojczyźnianej tęsknicy?

Tak wążasz moje obcasy  
I tę nogawkę galgańską,  
Jakgdybym był modnej rasy  
Salonową suchką pańską.

Ty, który merdasz oczosom,  
Przyczepiony do mych getrów,  
Jakbyś chciał obliczyć nosem,  
Ilem przeszedł kilometrów...

(M. Moretti, *Poesie scritte con lapis, Szkice ołówkowe, Neapol 1910.*)

ADA NEGRI

(ur. 1870 r.)

SZAŁ (PAZZIA)

Liść opada z płatanu, gałązka wzruszyła serce cyprysu —

To ty mię wołasz.

Oczy niewidzialne wiercą cień, wbijają się we mnie jak gwoździe w mur —

To ty na mnie patrzysz.

Ręce niewidzialne tykają mych ramion, ku cysternie śpiącej wody mię wabia —

To ty mnie pożadasz.

Wzwyż, wzwyż po słosie pacierzowym, blademi, mroźnemi wytryskami szal postępuje  
ku mózgowi —

To ty wdzieraszą się we mnie.

Już stopy nie tykają ziemi, już ciało staje się nieważkie w powietrzu; porywa je mroczny  
wir —

To ty wtrącasz mię w otchłań zawrotną...

(A. Negri, *Il libro di Mara, Milano 1919.*)

ALDO PALAZZESCHI

(ur. 1885)

WIEDŹMA SNU (LA VECCHIA DEL SONNO)

Sto lat ma starucha.

Nikt się nie natknął na nią w świetle dziennem,

Zato spotyka drzemiącą u źródłu.

Nikt jej nie budzi.

Przy cichym szepcie strumienia starucha zasypia

I tak siedzi śpiąca przy cichym poszepcie

Dni całe, dni całe, dni całe.

ORO DORO ODORO DODORO

W głębokiej ścieżynie rozdołu jest nisza,

Naokół wysokie cyprysy.

Wyjęto z niej posąg przed laty, przed laty.

Księżycą blask pada na białość błyszczącą marmuru,  
 Co zdaje się wspierać na tle poczeriałem  
 Wysokich cyprysów.  
 Na cokole cztery figury, okryte czarnymi płaszczami,  
 Patrzą na siebie w milczeniu  
 I stoją w bezruchu...

## CHORA FONTANNA (LA FONTANA MALATA)

Klof, klop, kłok,  
 Kloffete, kloppete, klokkete,  
 Kch, kch, kch.  
 To chora fontanna w pośrodku podwórza:  
 Jak przykry dla ucha ten kaszel...  
 Kch — kaszle; keh — kaszle.  
 Przeszła na chwilę i znowu:  
 Klof — klop — kłok (i t. d.)...

(Aldo Palazzeschi, *L'incendiario*, Milano 1910, 2 ed. 1913.)

## GIOVANNI PAPINI

(ur. 1881)

## KALWARJA

Słońce, dobrotliwe słońce wiosny, wysokie słońce południowej godziny; pobłysk białości stoku góry, stuk sandałów, kasających krótkim dźwiękiem próg kamienny. W pobliskich ogrodach wczesne kwiaty radują się ciepłem wiatru; ptaki-śpiewaki, skryte na gałęziach wiśni, siekają niebo srebrnymi strzałami gardziółków. Gołębie polatują parami w ciepłe sielankowego pokoju. Pięknie byłoby żyć tutaj, w ogrodach uwodnionych, nad krawędzią cysterny, w zapachu ziemi, co się budzi i przyodziewa w oczekiwaniu księżycą košby; w towarzystwie kochanków rozmiłowanych w sobie. Dni Galilei, dni ciszy, dni słońca i przyjaźni, pośród winnic nad jeziorem, dni światła i swobody, przechadzki z tymi, co chcą słuchać, odwołując słuszną radość wieczery; dni, które wydawałyby się wieczne, choć tak krótkie.

Niemasz już nikogo przy tobie, Jezusie, zwany Chrystusem. Owi żołdacy, co ci gotują okropne łoże, owi lotrzy, co na cię miotają obelgi, owe psy, co szczekają na twą krew wylaną, nie są już niczem, jeno cieniem, wyłonionym z wielkiego cienia Bózego. Jesteś sam, jak sam byłeś minionej nocy. Nie dla ciebie świeci słońce, które rozgrzewa grzbiety twych zabójców. I niema już dla ciebie jutra, niema dalszej do przebycia drogi; skończyła się twoja włóczęga; wolno ci na koniec odpocząć. Ten oto czerep skalny jest kresem. Tu niezadługo więziony duch wyłuszczy się z ciała...

Na szczycie kamiennej kopy Trzy Krzyże wysokie i ciemne z rozwartymi ramionami, jak olbrzymy, gotowe do uścisku, sterczą na tle ogromnego nieba, rozkochanego w wiośnie. Nie odrzucają cienia, lecz są obrzeżone, jakby świecącymi blaskami słońca. A takie jest piękno świata w ten dzień, w tę godzinę, że zda się niepodobna myśleć o męce. Wszak możnaby te anteny drewniane przystroić kwieciami polnym, rozwiesić od drzewa do drzewa wieńce nowego listowia, osłonić szubienicę murem zieleni i zasieść w cieniu na odpoczynek, jak bracia pogodzeni i sobie przychylni.

(G. Papini, *Storia di Christo*, Firenze 1921.)

Przekłady zostały dokonane bądź według wydań monograficznych, bądź zbiorowych, jak Monaciego, Nannucciego i i. Niektóre zostały powtórzone według książki obfitującej w ilustracje literackie: Edward Porębowicz, *Dzieje literatury włoskiej XVI—XVIII* (wyd. w Najcenniejszych utworach literatury europejskiej, Warszawa, Lewental 1887 i nast.). «Najmłodsza Italja» po Carduccim, G. d'Annunziu, Pascolim, została opracowana według bardzo obfitej Antologii Papiniego i Pancraziego: *Poeti d'oggi* 1900—1928, Firenze s. d.

*Układ, wybór i tłumaczenie Edwarda Porębowicza.*